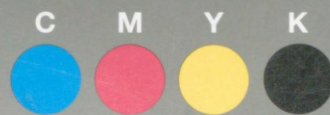
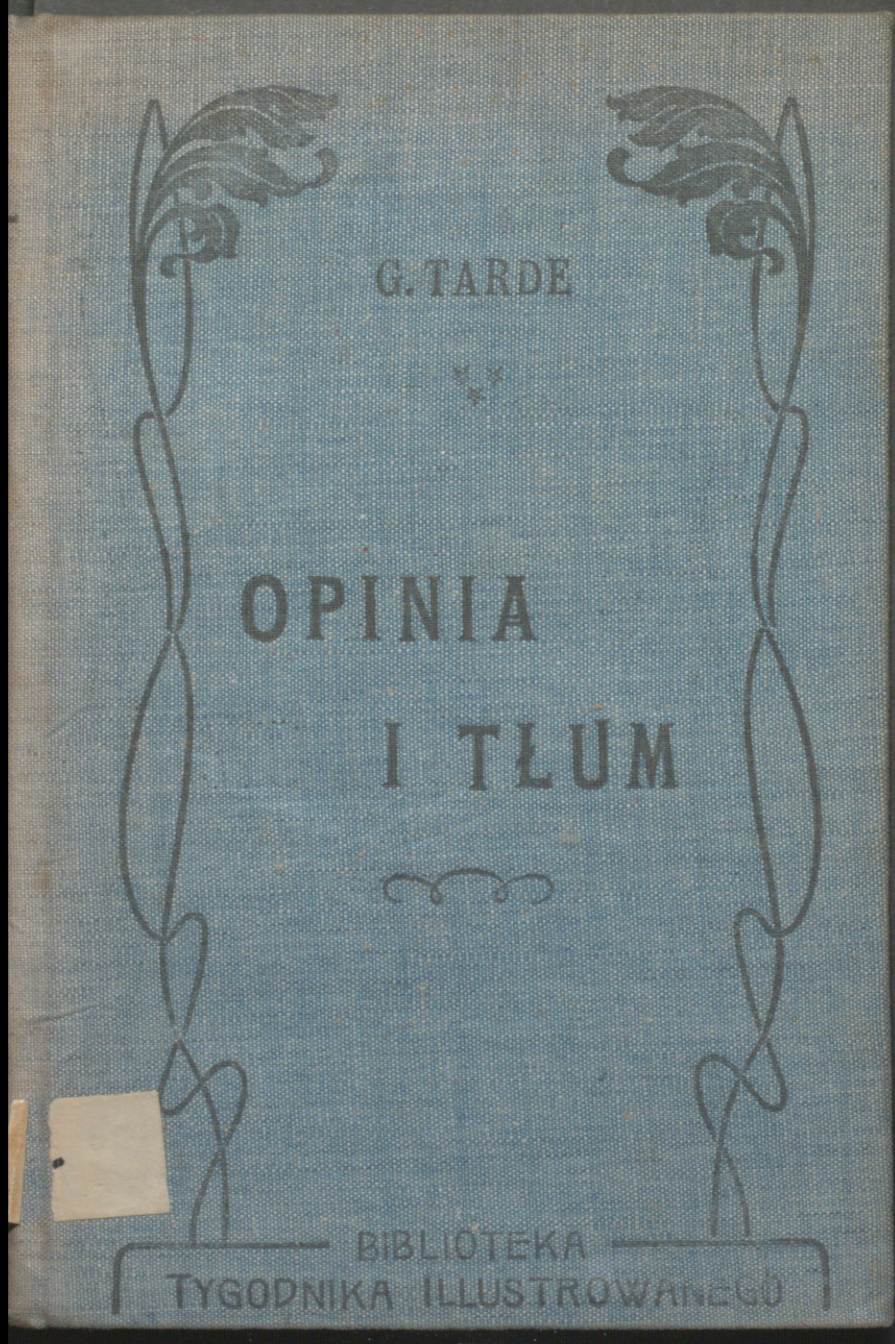
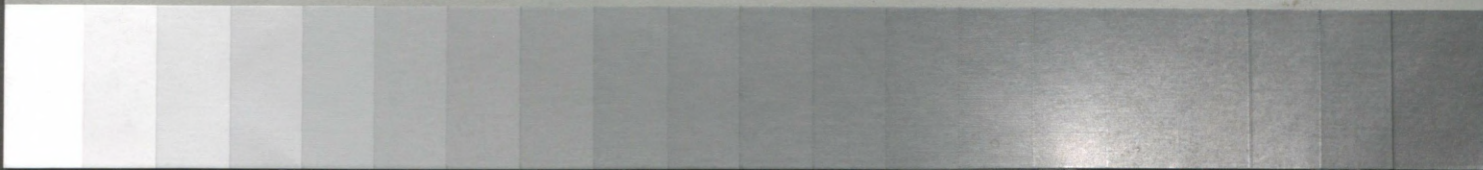


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19



A decorative border in a dark, muted green color frames the central text. It consists of two vertical, symmetrical elements on either side, each featuring a stylized, leafy plant or flower at the top that curves downwards into a long, slender, vertically-oriented shape. The background of the cover has a fine, woven texture.

G. TARDE

OPINIA
I TŁUM

A small, rectangular, off-white paper label is affixed to the lower-left corner of the book cover.

BIBLIOTEKA
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

OPINIA I TŁUM

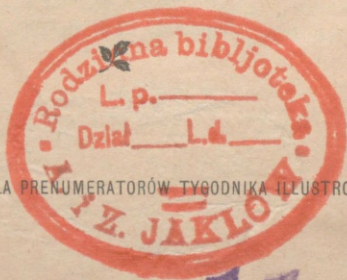
G. TARDE



OPINIA I TŁUM

PRZEKŁAD

Kazimiery Skrzyńskiej



BEZPŁATNY DODATEK DLA PRENUMERATORÓW TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

114

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW—G. GEBETHNER I Sp.

1904.

15:301

6623/1



Дозволено Цензурою
Варшава, 27 Июля 1904 г.



PRZEDMOWA.

Psychologia zbiorowości albo psychologia społeczna często tak fantastycznie są pojmowane, że musimy tutaj przedewszystkiem porozumieć się co do znaczenia tych określeń.

Przyczynę owej niejasności łatwo znaleźć: wyobrażamy sobie bowiem umysłowość zbiorowości, świadomość zbiorową jako odrębne my, istniejące poza albo ponad umysłem jednostki. Sądzę jednak, że nie mamy potrzeby uciekać się do takich mglistych pojęć, ażeby módz nakreślić linię graniczną pomiędzy psychologią zwykłą a psychologią społeczną, którą nazwałbym chętnie inter-psychiczną. Pierwsza analizuje stosunek umysłu do ogółu przedmiotów zewnętrznych, druga zaś bada lub powinna badać wzajemne stosunki umysłowe, ich wpływy jednostronne albo wzajemne.

Pomiędzy pierwszą a drugą jest taka różnica, jaka istnieje pomiędzy rodzajem a gatunkiem. Tylko gatunek ten jest tak osobliwej natury i tak wielkie ma znaczenie, że musimy go koniecznie wydzielić z rodzaju i badać za pomocą innej metody — specjalnej.

Pojedyncze studia, zawarte w tej książce, są to fragmenty obszernej dziedziny psychologii zbiorowej. Łączy je ścisły związek pokrewieństwa. Publiczność — przedmiot badań pierwszej części pracy niniejszej —

jest tłumem rozproszonym, w którym wzajemne wpływy umysłowe stały się oddziaływaniem na odległość, na przestrzeń coraz to większą. Opinia, wynik tych oddziaływań na odległość, lub bezpośredniego obcowania, jest dla tłumu i publiczności, do pewnego stopnia, tem, czem myśl dla ciała. A jeżeli, wśród pierwiastków twórczych opinii, będziemy szukali elementu najbardziej stałego i zasadniczego, to będzie nim *rozmoWA*, podstawa wszystkich stosunków społecznych, zupełnie przez socyologów nie brana pod uwagę.

Wyczerpująca historia rozmowy u wszystkich ludów i we wszystkich epokach byłaby dokumentem niezmiernej wagi dla nauk społecznych.

Gdyby współpraca licznych badaczy zdołała pokonać nasuwające się tutaj trudności, to bez wątpienia wyłoniłyby się cechy i pojęcia wspólne wszystkim narodom, bez względu na różnice rasowe, i w ten sposób zgromadziłby się materiał, z którego mogłaby powstać poważna nauka o *rozmowie* porównawczej, niemniej cenna od religii porównawczej, albo studyów porównawczych ze sztuki, mogąca stać nawet obok studyów porównawczych z dziedziny przemysłu, czyli, inaczej mówiąc, obok ekonomii politycznej. Oczywiście na kilku stronicach nie ośmieliłbym się nakreślić planu podobnej nauki. Nawet, z powodu braku materiału, nie mógłbym tutaj w ogólnych zarysach jej naszkicować, mogę tylko wskazać jej stanowisko w przeszłości.

Byłbym szczęśliwy, gdyby słowa moje wzbudziły żal, że taka nauka nie istnieje, i gdybym mógł zachęcić młodych badaczy do wypełnienia tej wielkiej luki.

G. Tarac.

Maj 1901 r.

Publiczność i tłum.

I.

Tłum nie tylko pociąga i przykuwa do siebie wi-
dza z siłą, której się nikt oprzeć nie zdoła, lecz nawet
dźwięk wyrazu „tłum” wywiera wpływ magiczny na
czytelnika współczesnego.

Niektórzy pisarze zbyt często niewłaściwie nazy-
wają tłumem wszelkiego rodzaju zbiorowiska ludzkie.
Należałoby wziąć rozbrat z tego rodzaju niejasnością
i nie łączyć w jedno pojęcie tłumy i publiczności, lecz
ściślej rozgraniczyć te nazwy poplątane—i to właśnie
zamierzam uczynić.

Mówi się zwykle: „publiczność teatralna”, „publi-
czność” jakiegoś zgromadzenia — tutaj publiczność wła-
ściwie oznacza tłum. Podobne określenie znaczenia
tego wyrazu nie jest jedyne, ani najważniejsze, a cho-
ciaż ogólnie przyjęte, traci powoli swoją doniosłość.
Czasy nowsze od chwili wynalezienia druku wytworzy-
ły inny rodzaj publiczności, która ciągle wzrasta, któ-
rej bezgraniczne rozprzestrzenianie się jest jedną z cech
charakterystycznych naszej epoki.

Istnieje już psychologia tłumu, należałoby stworzyć psychologię publiczności, pojętej w tem drugim, właściwem znaczeniu, t. j. jako zbiorowość wyłącznie duchowa, jako grupa jednostek fizycznie rozproszonych, lecz ściśle związanych pokrewieństwem umysłowem.

Skąd pochodzi publiczność, w jaki sposób powstaje, jak się rozwija i przeobraża, jaki jest jej stosunek do kierowników, do tłumu, stowarzyszeń, państwa, jaką ma władzę w kierunku dodatnim lub ujemnym, jakie tło uczuciowe i jaki jest rodzaj jej działalności? Te zagadnienia będą przedmiotem badań pracy niniejszej.

W społeczeństwach zwierzęcych, najniższej organizacyi, stowarzyszenia opierają się wyłącznie na podstawach materyalnych. W miarę wznoszenia się po szczeblach drabiny życia, stosunki społeczne uduchowniają się coraz bardziej. Jednak jeżeli dane jednostki oddalają się od siebie tak, że nie mogą się ze sobą spotykać, albo jeżeli rozłąka ta trwa dłużej, niż jakiś określony, dość krótki zresztą przeciąg czasu, stowarzyszenie się rozwiązuje.

Tłum pod tym względem ma w sobie coś zwierzęcego. Czyż psychiczne oddziaływanie tłumu nie wynika z fizycznego zetknięcia się danych jednostek?

Lecz nie każde oddziaływanie umysłowe, nie każde jednoczenie się dusz wymaga bezwarunkowo zbliżenia się cielesnego.

Warunek ten staje się zbyt ciężki, gdy w naszych społeczeństwach cywilizowanych coraz wybitniej zaznacza się prąd opinii publicznej. To nie wskutek zgromadzania się ludzi na drogach lub placach miejskich powstają i rozlewają się te potoki spo-

łączne*), te wielkie prądy, co nawałem swoim porywają serca najbardziej stateczne, umysły najoporniejsze, co każą sobie składać w ofierze ustawy rządów i parlamentów. Rzecz dziwna, ludzie, którzy ulegają tym prądom, którzy się nawzajem suggestyonują, albo raczej jedni drugim poddają suggestyę idące z góry, nie obcują wcale ze sobą, ci ludzie nie widzą się, ani słyszą, rozproszeni na znacznych obszarach, siedzą w domu, każdy u siebie, i czytają te same czasopisma. Jakież więc łącznik istnieje między nimi?

Łącznikiem tym jest współmierność w czasie ich przekonań i namiętności, świadomość każdego z nich, że daną myśl czy pragnienie podziela z nim jednocześnie znaczna liczba innych ludzi. Przeświadczenie to wystarcza, aby człowiek ulegał wpływowi tej masy innych ludzi, razem wziętych, nawet ich nie widząc, ani słysząc, a nie tylko wpływowi dziennikarza, który ich wszystkich podnieca, sam nieznan i niewidzialny, a tem samym przybierający w ich wyobraźni postać czarodzieja.

Czytelnik nie zdaje sobie sprawy, że ulega przekonującemu i prawie niepokonanemu wpływowi cza-

*) Te hydrauliczne porównania nasuwają się pod pióro zawsze, ilekroć jest mowa o tłumie, a także i o publiczności. Na tem polega ich podobieństwo. Tłum, idący wieczorem, podczas święta publicznego, powolnością ruchów, ilością swoich odnóg przypomina rzekę, płynącą bez koryta. Nic mniej, jak tłum, nie nadaje się do porównania z organizmem, nie mówiąc już o publiczności. Są to strumienie wody, których bieg nie został jeszcze określony ściśle.

sopisma, jakie stale czytuje. Dziennikarz, w pewnym stopniu świadomie, powoduje się chęcią dogodzenia swojej publiczności, i nigdy nie zapomina o jej właściwościach i upodobaniach.

Przeciętny czytelnik absolutnie nie domyśla się też wpływu, jaki nań wywierają inni czytelnicy. A jednak tak jest niewątpliwie. Wpływ ten oddziałuje jednocześnie i na stopień jego zainteresowania się daną sprawą, które o tyle się potęguje, o ile liczniejsza lub bardziej doborowa publiczność podziela — w mniemaniu czytelnika — to jego zainteresowanie. Oddziaływa też na jakość sądu czytelnika, starającego się przystosować do sądu większości lub sądu wybranych — zależnie od warunków postronnych. Otwieram np. jeden z najświeższych, jak mi się zdaje, dzienników i czytam z zajęciem pewne wiadomości, wtem spostrzegam, że data tego dziennika pochodzi z zeszłego miesiąca lub dnia poprzedniego, i nagle przestaje mnie on interesować. Co jest przyczyną tego zubożenia? Czy fakty tam przytoczone istotnie nas mniej obchodzą? Nie, lecz mamy wrażenie, że, czytając je, jesteśmy osamotnieni, i to wystarcza. Okazuje się, że nasze żywe zainteresowanie wynikało z nieświadomego złudzenia współczesności tego naszego uczucia z takimiż uczuciami znacznej liczby innych ludzi.

Dziennik wczorajszy albo onegdajszy w porównaniu z dzisiejszym jest dla nas tem, czem jest mowa, przeczytana u siebie w domu, z wrażeniem, jakie czyni, gdy usłyszymy ją wypowiedzianą wśród liczного zgromadzenia.

Jeżeli więc ulegamy nieświadomie takiemu nieuchwytnemu wpływowi publiczności, której cząstkę skła-

dową sami stanowimy, to poprostu możemy sobie ten fakt objaśnić urokiem a k t u a l n o ś c i. Jeżeli najświeższy numer dziennika do tego stopnia nas interesuje, to być może dlatego tylko, że opowiada nam o zdarzeniach aktualnych i roznamiętnia nas sama ich bliskość, a bynajmniej nie to, że jednocześnie dowiadują się o nich inni ludzie. Przeprowadźmy ścisłą analizę tego dziwnego wrażenia aktualności, którego wzmagająca się potęga jest jedną z cech charakterystycznych życia społeczeństw cywilizowanych.

Co nazywamy „aktualnem”? Czy to, co stało się przed chwilą? — Nie, aktualnem będzie to wszystko, co w danym momencie budzi ogólne zainteresowanie, chociażby sam fakt miał miejsce w oddalonej przeszłości. W ostatnich czasach „aktualnem” było wszystko, co odnosiło się do Napoleona; jest aktualnem to, co jest w modzie. Ale nie będzie aktualnym jakiś fakt bieżący, który w danej chwili nie zwraca uwagi publiczności, czemś innem zajętej. Podczas sprawy Dreyfusa w Afryce i Azji miały miejsce wypadki wielkiej doniosłości, lecz nie znajdowano w nich nic aktualnego.

Upodobanie do aktualności wzrasta wraz z uspołecznieniem i jest jednym z najwybitniejszych jego objawów; a ponieważ prasa peryodyczna, zwłaszcza codzienna, omawia tematy aktualne, zatem powstaje pewien związek pomiędzy czytelnikami jednego i tego samego dziennika, ustala się pomiędzy nimi pewien rodzaj stowarzyszenia, na które nie zwracamy dostatecznej uwagi, jakkolwiek należy do najważniejszych zjawisk społecznych. Aby wśród jednostek, składających daną publiczność, taka sugestyja na odległość była możliwa, potrzeba naturalnie, by one były przyzwyczajone do intensywnego życia zbiorowego, do życia miejskie-

go, do sugestyi bezpośredniej. Zaczynamy od tego, że w dzieciństwie i młodości naszej odczuwamy działanie w z r o k u l u d z k i e g o, który wpływa na nasz sposób bycia, ruchy, na bieg naszych myśli, bezład lub podniecenie naszej mowy, na nasze sądy i czyny. I dopiero, gdy przez lata całe ulegaliśmy takiemu oddziaływaniu wzrokowemu, lub na innych takich wpływ wywierali, stajemy się podatni do sugestyi myślowej, ulegamy działaniu myśli o w z r o k u i n n y c h, wrażeniu, że jesteśmy przedmiotem obserwacyi osób, znajdujących się w oddaleniu.

Tak samo, jeżeli przez długi czas ulegaliśmy sami działaniu czyjegoś głosu lub próbowaliśmy sugestjować innych głosem stanowczym i arbitralnym, wystarcza potem przeczytać jakiebądź twierdzenie energiczne, aby mu poddać się całkowicie, a sama świadomość, że z tem twierdzeniem solidaryzuje się znaczna liczba osób pokrewnych nam myślą, skłania nas do podzielenia wygłoszonego sądu.

Istnienie publiczności świadczy o wyższym stopniu ewolucyi duchowej i społecznej, niż to jest koniecznie potrzebne do istnienia tłumów. Podatność do sugestyi czysto ideowej, to współdziałanie myślowe bez osobistego kontaktu; w grupie tak abstrakcyjnej, a jednak tak realnej, ten tłum uduchowniony, podniesiony do wyższego stopnia potęgi, powstały z brutalnych, pierwotnych form życia zbiorowego, jak publiczność — musi być owocem pracy długiego szeregu wieków.

II.

W żadnym języku starożytnym, łacińskim ani greckim, niema wyrazu na określenie tego, co my publicznością nazywamy.

Znajdujemy tam wyrazy, służące do określenia ludu, zgromadzenia obywateli, wojska, ciała wyborczego, słowem tłumów w różnej postaci. Któryż z pisarzy starożytnych mógłby mówić o swojej publiczności?

Każdy z nich miał tylko swoje audytorjum w salach wynajmowanych na przemówienia publiczne, gdzie poeci współcześni Pliniuszowi Młodszemu gromadzili tłumy słuchaczy nie bardzo liczne, lecz sympatycznie usposobione. Co się zaś tyczy niewielkiej ilości czytelników, którzy ślęczeli nad manuskryptami, przepisywanymi w kilku dziesiątkach egzemplarzy, to nie mogli utworzyć takiej uświadomionej grupy społecznej, jaką obecnie stanowią czytelnicy jednego i tego samego czasopisma, lub jakiegoś modnego romansu.

Czy w średnich wiekach istniała publiczność?

Nie. Ale były wówczas jarmarki, pielgrzymki, zebrania tłumne, gromadziły się masy owładnięte wspólnym uczuciem religijnym, lub animuszem wojennym, przejęte oburzeniem, albo strachem panicznym.

Istnienie publiczności stało się możliwe dopiero z chwilą rozpowszechnienia druku w XVI stuleciu.

Przenoszenie siły na odległość jest niczem w porównaniu z takim przenoszeniem myśli na wielkie

przestrzenie. Czyż myśl nie jest siłą społeczną par excellence?

Przypomnijmy sobie idées-forces Fouillé'go.

Gdy w milionach egzemplarzy wydrukowano Biblię, ukazało się po raz pierwszy nowe i w nieobliczone następstwa płodne zjawisko, a mianowicie: grupa czytelników Biblii, dzięki temu, że codziennie i jednocześnie odczytywała różne jej ustępy, zjednoczyła się i zrozumiała, że stanowi odłam społeczeństwa oderwany od kościoła katolickiego. Ta rodząca się publiczność była tylko odłamek kościoła innego wyznania. Słabą stroną protestantyzmu było właśnie to, że tworzył jednocześnie publiczność i kościół, dwie grupy na odmiennych podstawach oparte i z natury rzeczy nie dające się pogodzić. Właściwa publiczność zarysowała się wyraźniej dopiero za Ludwika XIV. Jeżeli w tej epoce gromadziły się tłumy podczas uroczystości koronacyjnych i świątecznych, nie mniej podniecone ani też mniej liczne, aniżeli w naszej epoce, jeżeli tłumy te, dotknięte klęską głodową, wywołały rozruchy, to za to publiczność składała się ze szczupłej garstki wybranych „honnêtes gens”, którzy czytali swoje miesięczniki, a zwłaszcza książki, właściwie niewielką ilość książek napisanych dla niewielkiego grona czytelników. Nadto czytelnicy ci byli skupieni, jeżeli nie przy dworze, to w każdym razie w Paryżu.

W XVIII stuleciu publiczność nagle wzrasta i dzieli się na grupy. Nie przypuszczam jednak, aby przed Baylem istniała publiczność filozoficzna, różna od publiczności literackiej, lub żeby takowa zaczynała się wyłaniać, bo nie nazywam publicznością grupy uczonych, którzy, pomimo swego rozproszenia po roz-

maitych prowincjach i państwach, są zjednoczeni wspólnością swoich dociekań naukowych, czytaniem jednych i tych samych utworów; grupa ta była tak nieliczna, że dla wymiany myśli wystarczała jej korespondencya prywatna, a głównym zasiłkiem dla ich łączności naukowej były stosunki osobiste.

Publiczność we właściwym znaczeniu tego wyrazu ukazuje się dopiero w jednym z tych nieuchwytnych momentów, gdy liczba ludzi, poświęcających się pracy w danej dziedzinie wiedzy, zwiększyła się tak dalece, że nie mogli już osobiście porozumiewać się ze sobą i zrozumieć, że tylko za pośrednictwem nie osobistych, lecz stałe, w pewnych okresach czasu udzielanych sobie wiadomości może się wytworzyć pomiędzy nimi pewna solidarność i dopomóc do zawiązania ściślejszych stosunków. W drugiej połowie XVIII stulecia zjawia się publiczność polityczna, która wzmaga się nieustannie i wkrótce wchłania, jak rzeka, swe dopływy, wszystkie inne odłamy publiczności — literacką, filozoficzną i naukową. Jednakże aż do Rewolucyi życie publiczności, samo przez się, jest bardzo mało intensywne, a jeżeli miało jakieś znaczenie, to tylko dzięki życiu tłumów, czemu sprzyjało nadzwyczajne ożywienie salonów i kawiarni.

Właściwy rozwój dziennikarstwa, a zatem i publiczności, datuje się dopiero od czasów Rewolucyi. Jakkolwiek gorączkowy wzrost publiczności jest cechą znamioną w tej epoce, nie znaczy to wcale, aby Rewolucya nie podniecała także i tłumów; lecz takie rozruchy uliczne, jakie wówczas miały miejsce, nie różnią się w niczem od wojen domowych XIV nawet XVI stulecia, np. podczas Frondy. Tłumy sprzymierzeńców Świętej Ligi, frondystów, stronników Cabo-

che'a, nie były mniej groźne, ani też liczniejsze od tłumów 14 lipca i 10 sierpnia.

Tłum może wzrastać tylko do pewnego stopnia, określonego granicami wzroku i słuchu ludzkiego, nie tracąc możliwości czynu zbiorowego i nie rozbijając się na grupy. Objawy działalności tłumy są zawsze identyczne: wznoszenie barykad, rabunek, rzezie, gruzy, pożary. Niema nic bardziej monotonnego nad te czyny zbiorowe tłumów, powtarzające się stale w każdym stuleciu.

Cechą charakterystyczną r. 1789, nowem zupełnie nieznanem dotąd zjawiskiem, było ogromne rozpowszechnienie dziennikarstwa, które zakwitło w tej epoce, chciwie pożerane przez publiczność ówczesną. Jeżeli niektóre czasopisma z tego okresu można nazwać płodami nieudolnymi, to za to inne dawały przykład niesłychanej popularności dziennikarstwa. Każdy z tych wielkich i wstrętnych publicystów*), jak np. Marat, Desmoulin, ojciec Duchesne, miał swoją publiczność, a tłumy podpalaczy, rabusiów, zbrodniarzy, luźniców, co wszereż i wzdłuż niszczyły Francję, można uważać jako złośliwe narosty, wytwory owych grup

*) Wyraz „publicysta“ — powiada Littré — ukazał się w słowniku Akademii dopiero około r. 1762 i figuruje tam — jak jeszcze i teraz w sporej ilości słowników — jedynie w znaczeniu autora rozpraw z dziedziny prawa cywilnego. Obecnie przyjęte znaczenie tego wyrazu rozpowszechniało się w ciągu XIX stulecia, podczas gdy znaczenie wyrazu p u b l i c z n o ś ć, tak jak ja rozumiem, różniczkowało się coraz bardziej.

publiczności, której ci występni amfitryoni — po śmierci w tryumfie wniesieni do Panteonu — podawali codziennie czarę, zaprawną jadem słów czczych a namiętnych. To nie dowodzi wcale, aby tłumy buntowników w Paryżu, a tembardziej na prowincyi i po wsiach, składały się wyłącznie z samych czytelników czasopism różnego rodzaju; ci ostatni jeżeli nie stanowili samego płynu, to w każdym razie grali w nim rolę fermentu.

Zebrania w klubach i kawiarniach, których znaczenie było tak doniosłe podczas Rewolucyi, stanowiła głównie publiczność, podczas gdy przed Rewolucją publiczność była raczej wynikiem niż przyczyną zebrań w kawiarniach i salonach.

Publiczność rewolucyjna była przedewszystkiem publicznością paryską, poza Paryżem dość słabo promieniowała.

Artur Youg, w czasie swojej podróży po miastach prowincjonalnych, był niezmiernie zdziwiony tak słabym rozwojem dziennikarstwa. Co prawda, miało to miejsce w początkach Rewolucyi, bo trochę później zmieniły się stosunki. Do końca jednak brak możliwości szybkiego porozumiewania się był niezwalczoną przeszkodą do rozwoju intensywnego życia publicznego. W jaki sposób bowiem dzienniki, przychodzące dwa lub trzy razy tygodniowo, i to w 8 dni po ukazaniu się w Paryżu, mogły wywołać wrażenie aktualności na swoich czytelnikach na południu, uświadomić bezpośredni kontakt umysłowy pomiędzy nimi, bez czego czytanie dzienników nie różni się w niczem od czytania książki?

Dopiero wiek XIX, dzięki ułatwieniu i udoskona-

leniu środków komunikacji i szybkiego przenoszenia myśli na odległość, umożliwił bezgraniczne prawie rozprzestrzenianie się publiczności, co jest jej cechą charakterystyczną i czyni ją przeciwieństwem tłumu.

Tłum jest grupą społeczną przeszłości; po rodzi nie jest najstarszym ze wszystkich ustrojem zbiorowym. W każdej swojej postaci, w stanie spoczynku, czy też ruchu, tłum może się rozprzestrzeniać tylko do pewnej granicy, a gdy przywódcy przestaną go trzymać „in manu”, gdy głos ich milknie, tłum się rozpierzcha. Najobszerniejsze audytoryum, jakie kiedykolwiek istniało, było to Coliseum, lecz i ono nie przenosiło stu tysięcy osób. Audytorya Peryklesa lub Cycerona, a nawet wielkich kaznodziei średnowiecznych, w rodzaju Pawła Pustelnika, św. Bernarda, były bez wątpienia o wiele szczuplejsze. Nie możemy również powiedzieć, aby potęgą wymowy politycznej, bądź też religijnej, była większą w starożytności lub w wiekach średnich, niż obecnie.

Wzrost publiczności jest nieograniczony; a ponieważ w miarę rozwoju, jej życie społeczne jest coraz bardziej intensywne, a zatem, bezsprzecznie, stanie się ona grupą społeczną przyszłości.

W ten sposób, dzięki zjednoczonej pracy trzech wynalazków, które się wzajemnie wspomagają: druku, kolei żelaznych i telegrafu, doszła do takiej potęgi prasa, ten cudowny telefon, co tak niepomierne rozszerzył starożytne audytorya kaznodziei i trybunów. Nie mogę się więc zgodzić na twierdzenie znakomitego pisarza, d-ra Le Bon, że nasz wiek jest „epoką tłumów”. Nasz wiek jest epoką publiczności i różnych jej odłamów, nie mających nic wspólnego z tłumem.

III.

Znaczenie wyrazu „publiczność” ma pewne podobieństwo z tem, co nazywamy „światem” — „świat literacki”, „świat polityczny” i t. p.; różnica polega tylko na tem, że osoby, składające dany świat — w tem znaczeniu — muszą pozostawać w pewnem zetknięciu osobistem, wymieniać wizyty, gromadzić się na wspólne przyjęcia, co nie może mieć miejsca, ani też nie może być wymagane od członków jednej i tej samej publiczności.

Jakkolwiek publiczność rekrutuje się z pewnego rodzaju tłumu, z audytoryum mówców, istnieją olbrzymie różnice pomiędzy tłumem a publicznością, jak to już powyżej zaznaczyłem, muszę jeszcze wymienić niektóre, bardziej znamienne. Można należeć jednocześnie do kilku grup publiczności, jak i do kilku stowarzyszeń lub sekt, lecz w danym momencie tylko do jednego tłumu można się przyłączyć.

Stąd pochodzi owa nietolerancja, tak potężna w tłumie i narodach, gdzie duch tłumu panuje, bo tam porywa człowieka niepokonana siła rozpędu, bez żadnego przeciwdziałania.

Co prawda, z publiczności silnie podnieconej, jak to bywa niekiedy, powstają tłumy sfanatyzowane, które krążą po ulicach, wydając okrzyki: „niech żyje” lub „śmierć mu”. W tym wypadku publiczność można nazwać tłumem, ściśle skupionym. Ale to zniżenie się publiczności do tłumu, w najwyższym stopniu niebezpieczne, zdarza się bardzo rzadko, i nie analizując

pytania: czy tłumy powstałe z publiczności są mniej brutalne od tłumów powstałych bez jej udziału, możemy śmiało twierdzić, że starcia pomiędzy dwoma grupami publiczności, gotowymi zawsze do złania się w jedną całość i zniesienia linii demarkacyjnej, są o wiele mniej niebezpieczne dla spokoju publicznego, niż spotkanie się dwu wrogich sobie tłumów.

Tłum, jako grupa bardziej pierwotna, jest więcej podporządkowany zjawiskom przyrody; zależy on od zmian atmosferycznych i stopnia temperatury, częściej gromadzi się w lecie, niż w zimie. Promień słońca tłum skupia, ulewa rozprasza. Bailly, kiedy był merem Paryża, błogosławił dzień słotny, a niebo pogodne napawało go trwogą. Publiczność, jako grupa wyższego ustroju, nie ulega zmiennym i kapryśnym wpływom fizycznym, jak np. pora roku lub klimat. Wpływy te nie działają na powstawanie publiczności, ani na jej rozwój, ani nawet na ów stan podniecenia, który można uważać jako objaw patologiczny ostatnich czasów, coraz większego nabierający znaczenia.

Najostrzejszy — jaki znamy — kryzys tej choroby t. j. sprawa Dreyfusa, wystąpił na widownię publiczną w środku zimy. Czy ta więcej roznamiętniała ludność południa, niż północy, tak, jakby to z tłumem miało miejsce? Nie. Najsilniej podniecała umysły w Belgii, Prusach i Rosyi.

Nawet wpływ rasy daleko słabsze piętno wyciska na publiczności, niż na tłumie. I nie może być inaczej z powodów następujących:

Dlaczego meeting angielski tak bardzo się różni od zgromadzenia w klubie francuskim, rzeź wrześnieowa od skalpowania plemion amerykańskich, uroczystości

włoskie od koronacyi cesarza rosyjskiego? Dlaczego dobry obserwator na podstawie narodowości tłumu może wnioskować o sposobie działania tegoż tłumu, i czyni to z daleko większą pewnością, niż mógłby określić sposób postępowania każdej pojedynczej jednostki, w skład jego wchodzącej?

Dlaczego, pomimo wielkich przeobrażeń w obyczajach i pojęciach mieszkańców Francyi i Anglii, jakie zaszły w ciągu ostatnich trzech czy czterech stuleci, tegoczesne tłumy francuskie, bulanżystów czy antysemitów, przypominają w niektórych zarysach tłumy z czasów Świętej Ligi i Frondy, tak samo, jak dzisiejsze tłumy Anglików podobne są do tłumów z epoki Cromwell'a? A to dlatego, że ta właśnie wspólność cech etnicznych skłania dane jednostki do skupiania się w tłum, cech, które po zsumowaniu tworzą jedną całość i neutralizują różnice indywidualne.

W tłumie ścierają się ostre kandy indywidualizmu osobników na korzyść typu narodowego, i ten uwydatnia się nazewnątrz. Dzieje się to pomimo wpływu indywidualności przywódcy, czy też przywódców, który daje się zawsze w tłumie odczuwać, lecz jest zrównoważony oddziaływaniem skupionych jednostek.

Wpływ publicysty na swoją publiczność jest daleko mniej intensywny w danym momencie, lecz staje się o wiele potężniejszy przez ciągłość swego działania, niż chwilowe i przelotne impulsy, nadawane tłumom przez prowodyrów; nadto jednostki, składające daną publiczność, wywierają na siebie wpływ daleko słabszy, niż to ma miejsce w tłumie, i ten nie obala, lecz przeciwnie wzmaga wpływ publicysty, przez ową właśnie świadomość tożsamości i jednoczesności pragnień, po-

jęć, przekonań i uniesień namiętnych, codziennie podżeganych przez to samo zarzewie. Opierając się na zasadzie prawdopodobieństwa, możnaby zaprzeczyć twierdzeniu, jakoby każdy tłum miał swego przewodnika, bo, w rzeczy samej, on to często prowadzi swego wodza.

Któż jednak zaprzeczy, że każda publiczność ma swego inspiratora, a czasem i twórcę?

To, co Sainte-Beuve powiedział o geniuszu, że „jest monarcha, który lud swój powołuje do życia”, odnosi się przedewszystkiem do utalentowanego dziennikarza. Iluż to publicystów stworzyło swoją publiczność*). Warunkiem koniecznym dla rozbudzenia antysemityzmu było uprzednie przygotowanie w umysłach ludności, pewna ogólna w tym kierunku tendencja, rozwinięta mniej lub więcej w jednostkach tej lub owej grupy społecznej, więcej bierna niż czynna, a w mniejszym jeszcze stopniu świadoma sama siebie i nie mogąca oddziaływać, dopóki agitacya Edwarda Drumont'a nie wystąpiła na widownię publiczną, dopóki nie ozwał się głos, który jej nadał wyraz ogólny. Głos ten stworzył siłę zbiorową, być może sztuczną, niemniej jednak realną. W niektórych prowincjach Francyi nie widziało nigdy Żydów, pomimo to antysemityzm rozwija się i kwitnie, wznecany przez dzienniki tego kierunku.

*) Możliwość twierdzić, że każdy wybitniejszy dziennikarz stwarza sobie publiczność, a każda znaczniejsza grupa publiczności stwarza publicystę. To ostatnie jednak zdarza się o wiele rzadziej, niż pierwsze; istnieją bardzo liczne grupy, które w ciągu wielu lat swego istnienia nie zdołały wyłonić z siebie pisarza, mogącego objąć naczelny kierunek. W takim położeniu znajduje się obecnie świat katolicki.

Nie istniał też prąd socjalistyczny, ani anarchizm przed pojawieniem się Karola Marksa, Krapotkina i innych sławnych publicystów, którzy rozproszonym i niejasnym pojęciom nadali formę konkretną i puścili je w obieg pod swoim sztandarem.

Z tego więc łatwo dochodzimy do wniosku, że indywidualizm danego kierownika wybitniej się zaznacza w pojęciach publiczności, aniżeli duch narodowy, i że odwrotny stosunek zachodzi co do tłumu. Również łatwo zrozumieć, że z chwilą, gdy zmienia się kierownik danego obozu, wkrótce potem przeobraża się i dany odłam publiczności.

Naprzykład, tegoczesna publiczność socjalistyczna we Francyi nie przypomina w niczem publiczności z epoki Proudhon'a, podczas gdy wszelkiego rodzaju tłumy francuskie zachowują swoje cechy znamienne przez całe stulecia.

Możnaby tutaj uczynić uwagę, że czytelnik jakiegoś dziennika rozporządza większą swobodą umysłu, niż jednostka w tłum zamieszana. Może on rozmyślać w ciszy nad tem, co czyta, i pomimo swojej przecietnej bierności, zmienia niekiedy pisma, dopóki nie znajdzie takiego, które mu odpowiada lub zdaje się odpowiadać. Z drugiej strony dziennikarz szuka sposobów przypodobania się swemu czytelnikowi, by go zaprzadz do swego rydwanu. Statystyka przybywających lub ubywających prenumeratorów jest doskonałym tutaj termometrem, i często badana ostrzega redaktora, wskazuje kierunek i drogę, jaką mu kroczyć należy. Tego rodzaju busole motywują nagłą zmianę frontu czasopisma w jakiejs ważnej kwestyi i znane powszechnie odwoływania dziennikarskie.

Publiczność więc czasami tylko wywiera wpływ na dziennikarza, ale ten działa na nią bezustannie.

Po pewnem wahaniu początkowem, czytelnik wybiera sobie dziennik, a czasopismo urabia sobie publiczność — następuje więc wzajemny dobór, wzajemne przystosowanie. Pierwszy dostał do ręki pismo, które mu w zupełności odpowiada, pochlebia jego przesadom i namiętnościom, drugie dobrało sobie publiczność taką, jaką mieć chciało, uległą, wierzącą, którą może łatwo kierować za cenę jakichś drobnych ustępstw lub za pośrednictwem zwrotów retorycznych, znanych już mówcom starożytnym.

Powiadają, że trzeba się bać człowieka, który przeczytał jedną tylko książkę, lecz cóż on znaczy w porównaniu z człowiekiem, który czyta jeden tylko dziennik! A takim człowiekiem jest w rzeczywistości każdy z nas, albo prawie takim. W tem właśnie tkwi groźne niebezpieczeństwo doby obecnej.

Tak więc ten dobór wzajemny, to wzajemne przystosowanie, nie tylko nie tamuje wpływu dziennikarza na publiczność, lecz wytwarza z niej grupę jednolitą, uległą publicyście, który ją zna dobrze i z tem większą pewnością może na nią oddziaływać.

Tłum wogóle jest mniej jednolity, niż publiczność, bo jego wzrost liczebny odbywa się dzięki napływowi mnóstwa ciekawych, którzy się natychmiast jednoczą i asymilują, i z połowicznych uczestników stają się zwartą gromadą, lecz jako pierwiastki różnorodne utrudniają zadanie przywódcy.

IV.

Ta względna jednolitość publiczności może się wydać wątpliwą chociażby z tej przyczyny, że „nie czytamy wszyscy jednej i tej samej książki”, jak np. „nie kąpiemy się nigdy w jednej i tej samej wodzie”.

Jakkolwiek można się nie zgodzić na ten przesta-
rzały paradoks, czy to prawda, że nie czytamy nigdy
jednego i tego samego dziennika?

Pozornie zdawałoby się, że tak jest istotnie, że
zdanie powyższe odnosi się raczej do dziennika, którego
zawartość jest więcej urozmaicona, niż do książki, za-
wsze jednolitej w założeniu.

W rzeczywistości jednak każdy dziennik ma ja-
kiegoś „gwoźdźca”, a ten, uwypuklając się coraz bar-
dziej, pochłania uwagę czytelników i, jak punkt świetl-
ny, hypnotyzuje.

Pomimo pstrokacizny artykułów, każdy świstek
dziennikarski ma właściwe sobie zabarwienie, swoją
jakąś specyalność — pornograficzną, oszczerczą, poli-
tyczną, bądź też jakąkolwiek inną, której wszystko
jest podporządkowane i którą chciwie pochłania pu-
bliczność tego świstka. Dziennikarz łapie publiczność
na tę przynętę i prowadzi, dokąd mu się podoba.

Jeszcze jedna uwaga. Publiczność jest rodzajem
klienteli kupieckiej, jest ona klientelą wielce osobliwą,
co prawda, bo dąży do stłumienia objawów życia in-
nych klientów.

Już sam fakt, że ludzie, należący do pewnego koła towarzyskiego, nabywają produkty w magazynach jednej kategorii, ubierają się u jednej modniarki czy krawca, uczęszczają do tej samej restauracji — świadczy o istnieniu pewnego powinowactwa pomiędzy nimi, które, w ten sposób zaakcentowane, zacieśnia się i zarazem dopomaga do utworzenia pewnego rodzaju związku społecznego. Każdy z nas, nabywając przedmioty sobie potrzebne, ma mniej lub więcej jasną świadomość owego powinowactwa z klasą społeczną, która żywi się, ubiera i wszystkie swoje potrzeby zaspakaja w sposób analogiczny.

Fakt powyższy należy już do dziedziny gospodarstwa społecznego i ekonomiści zwrócili już nań uwagę, nie dostrzegli tylko sympatycznego stosunku pomiędzy temi osobami, niemniej godnego zaznaczenia, ze względu na następstwa.

Nabywców stałych, ludzi kupujących jeden i ten sam przedmiot lub produkt spożywczy, ekonomiści uważają za współzawodników, którzy wydzierają sobie pożądaną towar. Tymczasem ci ludzie są przytem spowinowaceni ze sobą; są to istoty sobie podobne, które starają się przystosowywać do siebie coraz to bardziej, coraz silniej zespalać, a to dlatego, aby tem jaskrawiej wyodrębnić się od innych ludzi. Podsycają wzajemnie swoje pragnienia, a współzawodnictwo nie rwie, lecz snuje dalej nić wzajemnej sympatii, która się nawiązuje wewnątrz nie objawia, a pomimo to wzrasta nieustannie. O ileż głębszy i serdeczniejszy jest związek czytelników jednego i tego samego dziennika!

Tutaj niema mowy o jakimkolwiek współzawodnictwie, istnieje tylko spójnia umysłowa, jedność myśli podawanych przez dziennikarza i świadomość tej jedności — ale nie tej sugestyi, bardzo zresztą widocznej.

Jak każdy dostawca ma dwa rodzaje klienteli, stałą i przygodną, podobnie i wszystkie dzienniki i miesięczniki mają również dwa rodzaje publiczności: stałą, wierną sobie, i przygodną, niestałą. Stosunek ilościowy obu rodzajów publiczności jest bardzo różny dla każdego wydawnictwa poszczególnie; dzienniki starsze, organa dawnych partyi, nie mogą liczyć zupełnie lub też bardzo mało na publiczność przygodną. Jestem przekonany, że tutaj wpływ publicysty jest niezmiernie ograniczony z powodu nietolerancyi ośrodka, do którego się dostał i z którego będzie wypędzony z chwila, gdy ośmieli się wystąpić z najmniejszą opozycją. Z drugiej strony, jeżeli udało się komuś raz tam wpływ uzyskać, to już będzie on trwały i silny. Obecnie jednak publiczność stała i tradycyjnie przywiązana do danego dziennika zanika coraz bardziej, a coraz częściej zastępuje ją publiczność przelotna i ruchoma, na którą wpływ utalentowanego dziennikarza jest mniej trwały, ale za to łatwiej może zdobyć przewagę.

Należy ubolewać nad tego rodzaju ewolucją dziennikarstwa, albowiem publiczność stała musi wytworzyć zastęp uczciwych dziennikarzy, działających z przekonania; przeciwnie, gwoli dogodzenia publiczności przygodnej i kapryśnej, występują na widownię publicystyczną dziennikarze lekkomyślni, którzy co chwila zmieniają swój sztandar i tak często sięją burzę.

Ewolucya ta jednak jest nieunikniona i nieodwracalna, i bez wątpienia w przyszłości spotęguje jeszcze znaczenie społeczne pracowników pióra. Być może, że większą ilość dziennikarzy średniej miary podnorządkuje kanrysom publiczności, lecz coraz częściej będzie ją skłaniała do ulegania despotyzmowi wielkich publicystów.

Oni to w daleko wyższym stopniu, aniżeli dygnitarze państwowi, stanowią o kierunku opinii i sterują życiem publicznem. A gdy raz zostali wzniesieni na piedestał, tron ich jest niewzruszony.

Porównajmy zmienne losy dyplomatów, nawet najbardziej popularnych, z długiem i wszechwładnem panowaniem wybitnych dziennikarzy, które przypomina długowieczność Ludwika XIV, albo powodzenie wielkich artystów dramatycznych. Dla tych autokratów starość nie istnieje.

Dlatego to właśnie tak trudno ustanowić dobre prawo prasowe. Jest to również niemożliwe, jak ograniczenie kodeksu władzy monarchy absolutnego albo Napoleona. Wykroczenie prasy, a nawet jej zbrodnie, nie ulegają karze tak samo, jak nie były karalne wykroczenia trybunów w starożytności i przestępstwa kazalnicy w średnich wiekach.

Gdyby istotnie, jak to często utrzymują zwolennicy tłumów, w miarę rozwoju pojęć demokratycznych w społeczeństwie zmniejszało się stopniowo historyczne znaczenie indywidualizmu jednostki, nie możnaby zrozumieć wzmagającej się z dniem każdym potęgi publicystów. Nie ulega wątpliwości, że w momentach krytycznych oni to właśnie urabiają opinię. Jeżeli dwu lub trzech wielkich wodzów klikki politycznej czy literackiej zechce się zjednoczyć w imię jednego celu, to najgorsza nawet sprawa odnosi zwycięstwo.

Tak więc najnowsza forma ustroju społecznego, będąca w fazie największego rozwoju, w epoce naszej cywilizacji demokratycznej, t. j. grupowanie się warstw społecznych w publiczność różnego rodzaju, daje jednostce największą możliwość narzucania innym wybitnych cech swego indywidualizmu i najbardziej sprzyja rozlewności samorzutnych opinii indywidualnych.

V.

A zatem wystarcza otworzyć oczy, aby dostrzedz, że podział społeczeństwa na publiczność różnorodną, oparty wyłącznie na podstawach psychologicznych, odpowiada różnorodnym stanom umysłów i coraz widoczniej i usilniej dąży jeżeli nie do zupełnego zastąpienia, to w każdym razie do zamaskowania różnoimiennych grup społecznych, jak: wyznaniowe, ekonomiczne, estetyczne, polityczne, przez sekty, korporacje, zawody, szkoły i stronnictwa. Te różnorodne zrzeszenia są czemś więcej, aniżeli odmianami dawniejszych tłumów; nie są to tylko audytorya trybunów i mówców, opanowane lub poprostu powiększone przez publiczność stronnictw politycznych, religijnych i t. p. Rozłam różnych grup publiczności jest obecnie daleko głębszy; każda sekta dąży do posiadania własnego organu, aby mózdz otoczyć się swoją publicznością i za jej pośrednictwem jak najszerzej promieniować, pragnie stworzyć sobie właściwą atmosferę, aby mózdz w niej zanurzać się dowoli, pragnie rozbudzić zbiorową świadomość, aby z niej czerpać światło. A świadomości tej nie można nazwać epifenomenem—nie jest to zjawisko bierne i nic nie znaczące. Każda specjalność, bez względu na zakres swojej działalności, pragnie mieć swój własny dziennik lub jakieś wydawnictwo własne, podobnie, jak w średnich wiekach każde bractwo starało się mieć swego jałmużnika i swego kaznodzieję, jak w starożytnej Grecji każda warstwa społeczna miała swego urzędowego mówcę.

Czyż jednym z pierwszych zabiegów każdej świeżo powstałej szkoły literackiej czy artystycznej nie będą starania o założenie własnego organu? Czy nie uważa ona za niezbędne dopełnienie programu swo-

jej działalności? Czy istnieje jakie stronnictwo lub odłam stronnictwa, któreby nie wypowiadało swoich szumnych haseł w jakimś dzienniku czy publikacji peryodycznej, za którego pośrednictwem ma nadzieję się rozszerzać, a co niewątpliwie przysparza mu wyznawców i wzmacnia go na siłach, dopóki się nie przeobrazi: nie zespoli lub rozczłonkuje? Czyż stronnictwo, nie mające własnego organu, nie robi wrażenia potwora bezgłowego, jakkolwiek taka potworność była stanem normalnym wszystkich stronnictw w starożytności, w wiekach średnich, nawet i w Europie nowożytnej, aż do Rewolucyi francuskiej?

To przeobrażanie się wszystkich grup społecznych w publiczność jest wynikiem rozwoju życia zbiorowego, a zatem konieczności porozumiewania się danej grupy, za pośrednictwem wymiany informacji i wzajemnych impulsów. Jest to więc przeobrażenie nieuniknione. Trzeba tylko poznać jego następstwa, bo niezawodnie wpływały one lub wpływają na losy grup w ten sposób powstałych, tak pod względem czasu istnienia ich stałości i siły, jak i na walki ich i przymierza.

Pod względem czasu istnienia i stałości, to grupy starożytne nic nie zyskały na tem przeistoczeniu. Prasa bowiem wprawia w ruch wszystko, czego się dotknie i na czem swe piętno żywotne wycisnie, nawet w najświętszej i pozornie niewzruszonej ustawie występują objawy zmian wewnętrznych — często daremnie skrywane — jeżeli wejdzie na drogę stałych polemik dziennikarskich. Aby się przekonać o sile rozkładowej i odradzającej zarazem pisma codziennego, dość jest porównać partie polityczne przed powstaniem dziennikarstwa z takimiż partjami w chwili obecnej. Czyż dawniej nie były one mniej gorączkowe, lecz za to trwalsze, mniej żywotne, lecz bardziej stałe, mniej

rozszerzalne i mniej kruche, niż obecnie, i bardziej odporne na wpływy prądów rozmaitych, tak odżywczych, jak i rozkładowych? Cóż pozostało obecnie w Anglii z wigów i torysów, tej skrajnej a tak upornie przez całe stulecia trwającej antytezy?

Najrzadszem zjawiskiem było dawniej we Francji ukazanie się nowego stronnictwa; w naszej epoce stronnictwa przekształcają się nieustannie, zanikają lub mnożą się wskutek samorodztwa i palingenezy.

Coraz mniej ludzie interesują się, a także i przerażają etyką ich sztandarów, albowiem wiadomo powszechnie, że nim dane stronnictwo dojdzie do władzy, to przedtem musi uleść szeregowi radykalnych przeobrażeń. W niedalekiej przyszłości z dawniejszych stronnictw dziedzicznych i tradycyjnych zostanie — tylko wspomnienie.

Wtargnięcie prasy w szczególniejszy sposób przeobraziło też siłę dawniejszych skupień społecznych. Zwróćmy uwagę, jak ona jest daleką od popierania przewagi klas zawodowych. Dzienniki, poświęcone specjalnym sprawom zawodowym: prawniczym, przemysłowym, rolnym i t. p., są najmniej czytane, najmniej interesujące i najbardziej ograniczone mają pole działania, z wyjątkiem tych wypadków, gdy w imię pracy propagują strejki lub jakieś hasła polityczne.

Podział społeczeństwa, oparty na ugrupowaniu pojęć teoretycznych, uczuć i pragnień ideowych, cieśzy się największymi względami prasy i jemu to ona daje widoczną przewagę. Interesy tych grup prasa przyobleka w zasady i wzniosłemi teoryami oczyszcza; idealizuje i uduchownia nawet wtedy, gdy je w namiętności przeobraża. A chociażby taka transfiguracja była najbardziej niebezpieczna, następstwa jej są zawsze dodatnie. Bo jakkolwiek starcia pojęć i namiętno-

ści objawiają się nieraz bardzo gwałtownie i burzliwie, łatwiej jednak można je pogodzić, aniżeli interesy materialne.

Największy wpływ wywierają dzienniki na stronnictwa religijne i polityczne, i najbardziej je wyodrębniają z pośród innych grup społecznych. Stronnictwa te, uruchomione jako publiczność, przekształcają się, reformują i przeobrażają z szybkością niepojętą dla naszych przodków. Trzeba przyznać, że ta ich ruchliwość, to splatanie się wzajemne, nie ma nic wspólnego z prawidłową działalnością parlamentaryzmu angielskiego — co nie jest jeszcze wielkiem nieszczęściem — lecz ostatecznie zmusza do radykalnej zmiany systemu parlamentarnego.

Stronnictwa tegoczesne albo w ciągu kilku lat rozpadają się i znikają, albo też rozrastają do olbrzymich rozmiarów. W tym ostatnim wypadku wzmaga się niesłychanie ich potęga, ale na krótko, i wówczas to występują na jaw dwie, nieznane dotąd, ich cechy: z wielką łatwością zlewają się w jedną całość i stają się międzynarodowe. Podatność do jednoczenia się wynika stąd, że, jak już mówiliśmy, każdy z nas należy lub może jednocześnie należeć do kilku odłamów publiczności. A kosmopolityzują się dlatego, że słowo na skrzydłach dziennika bez trudu przebywa granice, ongi niedostępne dla głosu wielkich „leaderów” *) par-

*) Publiczność wielkich dzienników, jak np. „Times“, „Figaro“, a także niektórych przeglądów naukowych, jest rozproszona po wszystkich zakątkach świata. Różne więc jej grupy, jak: klerykalna, naukowa, ekonomiczna i estetyczna, są jedynie i stale międzynarodowe. Tłumy religijne, naukowe i t. p. bardzo rzadko są kosmopolityczne, chyba na kongresach, chociaż i te ostatnie przybrały postać wszechświatową tylko dlatego, że je powołała do życia publiczność międzynarodowa.

tyjnych, a nawet i głosu mówców najślawniejszych. Obecnie prasa używa skrzydeł wymowie parlamentarnej hasłom różnych zrzeszeń społecznych i roznosi je po całym świecie.

Jeżeli to międzynarodowe rozszerzanie się stronnictw, przeobrażonych w publiczność, wywołuje bardzo niebezpieczne starcia, to za to ich przenikanie się wzajemne i nieograniczony zakres działalności ułatwia ich związki, nawet niemoralne, i daje nadzieję ostatecznego zawarcia pokoju.

Tak więc przekształcanie się stronnictw w publiczność szkodzi więcej ich trwałości, niż zgodzie, zakłóca raczej chwile ich odpoczynku, niż spokój wewnętrzny, a zaburzenia przez nie wywołane przygotowują, zdaje się, drogę do ogólnego zespółu. Jak dalece to nasze przypuszczenie jest zgodne z prawdą, potwierdza fakt, że współczesne odłamy stronnictw, jako publiczność istniejące i rozproszone w danem społeczeństwie, pomimo swojej różnorodności, tworzą jakby jedną jedyną publiczność, a to dlatego, że zgadzają się, choćby częściowo, na pewnych punktach zasadniczych. To właśnie nazywa się „Opinią”, której znaczenie polityczne z dniem każdym się wzmacnia. W pewnych momentach krytycznych życia narodu jakiegoś, gdy zjawi się jakieś wspólne niebezpieczeństwo, zespół ten wybitnie się zaznacza i jest prawie zupełny. Wówczas to widzimy, jak naród, grupa społeczna par excellence, przeistacza się tak, jak i wszystkie inne grupy, w jedno olbrzymie grono czytelników, gorączkowo pochłaniających depesze. Podczas wojny nie było we Francji kast, zawodów, syndykatów, stronnictw, słowem zniknęły wszystkie grupy społeczne — istniała tylko armia i „publiczność” francuska.

Ze wszystkich skupień zbiorowych w najbliższym

stosunku do publiczności pozostaje tłum. Jakkolwiek publiczność jest to tylko zwiększone i rozproszone audytoryum, wiemy już, że pod wieloma względami różni się ona zasadniczo od tłumy, a te liczne i charakterystyczne różnice dochodzą do tego stopnia, że nawet wytwarzają pewien rodzaj odwrotnego stosunku pomiędzy rozwojem tłumy a rozwojem publiczności. Co prawda, publiczność podniecona wywołuje tłumne zgromadzenia na ulicach, a ponieważ ta publiczność jest rozrzucona na znacznych przestrzeniach, może się zdarzyć, że wzburzone jej masy gromadzą się w wielu miastach jednocześnie, wydają okrzyki, rabują, niecą mord i pożogę.

Tak już bywało nieraz*). Ale nie zdarzyło się nigdy widzieć tłumów zgromadzonych niezależnie od publiczności.

Gdyby — przypuśćmy — zniknęły wszystkie dzienniki, a z nimi razem i publiczność, czyż ludzie nie byłiby skłonniejsi do grupowania się w liczniejsze i bardziej zwarte audytoria, dokoła katedr profesorów i katedrzei, niż to obecnie ma miejsce; czyż nie zapełniałoby szczelniej miejsc publicznych, czyż nie zgromadzałyby się częściej w kawiarniach, klubach, salonach i czytelnich, nie mówiąc już o teatrach, i czyż charakter tych zebrań nie byłby bardziej burzliwy?

*) Można nawet powiedzieć, że charakter danego odłamu publiczności maluje się w tłumie, powołanym przez nią do życia. Publiczność pobożną cechują pielgrzymki do Lourdes; wielkoświątowa — wyścigi w Longchamps, bale, uroczystości; publiczność literacką — audytoria w teatrach i na posiedzeniach Akademii francuskiej; przemysłową — bezrobocia; polityczną — zebrań wyborcze i Izby deputowanych; publiczność rewolucyjną — przewroty, powstania, barykady.

Zapominamy o dyskusjach, jakie się toczyły w salo-
nach, kawiarniach i klubach, bo chronią nas od nich
polemiki prasowe, będące względnie niewinnem anty-
dotum. W rzeczy samej liczba słuchaczy na zgromadze-
niach publicznych coraz się zmniejsza, a przynajmniej
nie powiększa wręcz; a naszym mówcom, nawet najpo-
pularniejszym, daleko jest do powodzenia Abelarda, któ-
ry prowadził za sobą 30 tysięcy uczniów w głąb smutnej
doliny Paraktetu. Teraz nawet najliczniejsze audyto-
ryum nie słucha tak uważnie mówcy, jak dawniej, przed
wynalezieniem druku, gdy nie można było powetować
następstw roztargnienia. W salach wykładowych uni-
wersytetu, pustych zwykle w trzech czwartych, niema
takiego napływu słuchaczy, ani też tak natężonej uwa-
gi. Większość tych, którzy dawniej słuchaliby bardzo
pilnie, powiada sobie dzisiaj: „przeczytałm to w dzien-
niku”. W ten sposób publiczność wzrasta w miarę zmniej-
szania się tłumów, a jeszcze w wyższym stopniu zmniej-
sza się znaczenie tych ostatnich.

Gdzie się podziały czasy, gdy natchnione słowa
apostołów, jak np. Colombau'a i Patryka nawracały
tłumy ludu, do ust ich przykute? Dziś masy nawraca-
ją dziennikarze.

Na jakiegokolwiek więc grupy dzieli się społeczeń-
stwo, czy mają one charakter religijny, ekonomiczny,
polityczny, czy też narodowy, krańcowem stadyum ich
rozwoju, jakby pewnego rodzaju wspólnym mianowni-
kiem, będzie zawsze publiczność; bo wszystko odnosi
się do stanu umysłów w tej grupie wyłącznie psycho-
logicznej i tak podatnej do nieustannych przeobrażeń.

Godnym uwagi jest fakt, że wpływy cywilizacyjne
najsilniej działają na związki zawodowe oparte na wza-
jemnej eksploatacyi i przystosowaniu pragnień i inte-
resów.

Pomimo wszystkich różnic pomiędzy tłumem a publicznością, te dwa skrajne bieguny *) ewolucji społecznej mają jedno podobieństwo: związek różnorodnych osobników, w skład ich wchodzących, nie polega na s h a r m o n i z o w a n i u ich odrębności, lub właściwości wzajemnie użytecznych, lecz na tem, że wspólne ich cechy odbijają się w nich jak w zwierciadle i zlewają w proste i potężne u n i s o n o (o ileż silniej w publiczności, niż w tłumie!) pojęć i namiętności, co jednak nie zacierą różnic indywidualnych.

VI.

Poznaliśmy sposób powstawania i wzrostu publiczności, jej cechy charakterystyczne, które ją zbliżają lub wyodrębniają od tłumu, wyjaśniliśmy jej stosunki genealogiczne z rozmaitemi grupami społecznymi, postarajmy się teraz naszkicować klasyfikację różnych jej odmian w porównaniu z odmianami tłumu.

Publiczność, tak jak i tłum, można klasyfikować na zasadzie rozmaitych punktów widzenia. Ze względu na stosunki płciowe można ją podzielić na publiczność męską i kobiecą, podobnie jak istnieją tłumy tych obu płci. Publiczność złożona wyłącznie z kobiet, reprezentowana przez czytelniczki romansów i modnych utworów poetycznych, dzienników mód, przeglądów feministycznych, różni się bardzo od tłumów kobiecych. Ma ona zupełnie inne znaczenie liczebne

*) Rodzina i horda stanowią dwa wstępne etapy tej ewolucji. Ale horda, jako gromada pierwotna i rozbójnicza, jest tylko tłumem uruchomionym.

i nie jest tak niebezpieczna. Nie mówię tutaj o audytorjach kobiet w kościołach; ale gdy przypadkiem zgromadzą się na ulicy, są straszne z powodu swej niepomiernej egzaltacji i dzikości. Posłuchajmy, co mówi o nich Jansen albo Taine. Pierwszy opowiada o niejkiej Hofmanowej, z wyglądu podobnej do mężczyzny, która w roku 1529 prowadziła ze sobą bandy wieśniaków i wieśniaczek, wzburzone przez propagandę luterzańską. „Żyła ona pożogą, rabunkiem i mordem”, a zakłęciami swemi doprowadzała tłumy do szału fanatycznego, zamiast je uspakajać. Drugi opisuje zachowanie się kobiet, nawet ładnych i młodych, w dniach 5 i 6 października 1790. Obradują o sposobach zgładzenia królowej, pragną rozszarpać jej ciało na sztuki, „pożreć jej serce”, robić „kokardy“ z jej klejnotów, słowem objawiają żądze kanibalów i pragną je zaspokoić.

Czyż to dowodzi, że kobiety, pomimo pozorów łagodności, zachowały instynkty ludzi pierwotnych i zbrodnicze ich skłonności potęgują się w gromadzie? Nie; tylko w takiej gromadzie kobiet następuje dobór najbrutalniejszych i, że tak powiem, najbardziej męskich pierwiastków.

Corruptio optimi pessima. Czynienie zliennika, wygłaszającego najbardziej nawet przewrotne i burzliwe hasła, nie wymaga tyle przewrotności i bezczelności i dlatego najbardziej doborowa publiczność kobieca powstaje przeważnie z pierwiastków estetycznych, a polityczne pobudki pozostają na drugim planie.

Ze względu na wiek jednostek w danym skupieniu, to tłumy młodzieży — zaburzenia studenckie albo żaków paryskich — większą, bez porównania, mają doniosłość, aniżeli publiczność młodociana, nawet litera-

cka, ta bowiem nigdy doniosłego wpływu nie osiąga. Wzamian za to publiczność, utworzona ze starców, kieruje nawa społeczną wtedy, gdy tłumy starców są bezczynne. Za pośrednictwem takiej nieuchwytniej „gerontokracji” wytwarza się zbawienna przeciwwaga „efebokracji” tłumów wyborczych, gdzie panuje element młody, który nie miał jeszcze czasu przesyć się prawem głosowania.

Zresztą niezmiernie rzadko można spotkać tłumy starców. Za ledwie kilka soborów, albo liczniejszych zgromadzeń ojców kościoła w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, kilka burzliwych posiedzeń senatu, dawniej i w nowszych czasach, możnaby wymienić jako przykład gwałtów, dokonanych przez starców tłumnie zgromadzonych, albo jako dowód zbiorowych ich wybryków młodzieńczych. Zdaje się, że dążność do skupiania się w gromady wzrasta z wiekiem, od dzieciństwa do dojrzałości, a potem, w miarę zbliżania się starości, zanika powoli. Inaczej, nawet wprost odwrotnie, rozwija się skłonność do zrzeszania się: budzi się za ledwie w epoce pierwszej młodości, a wzmaga się nieustannie aż do wieku podeszłego.

Różniczkowanie się tłumów zależy też od stanu pogody, pory roku, stopnia szerokości geograficznej. Wiemy już, dlaczego te wpływy nie działają prawie na publiczność. Jest ona niezależną od czynników fizycznych, które nad tłumami panują wszechwładnie. Słońce jest jednym z najsilniejszych bodźców dla tłumów, i z tego powodu są one bardziej rozgorączkowane w lecie, aniżeli w zimie. Być może, że gdyby Karol X zatrzymał się do grudnia lub stycznia z ogłoszeniem swoich sławnych rozporządzeń, miałyby one inne zupełnie następstwa. Nie można też lekceważyć wpływu rasy—w znaczeniu narodowości—wpływ jej na pu-

bliczność, i nie jest on mniejszy, niż na tłumy. Jedną, z cech charakterystycznych publiczności francuskiej jest np. owa „furia francesca”.

Pominąwszy to wszystko, najważniejsze różnice rozmaitych grup publiczności, a również i tłumów polegają wyłącznie na istocie ich celu i wiary. Przechodnie uliczni, zajęci swemi sprawami osobistymi, spacerowicze, wieśniacy zgromadzeni na jarmarku, chociaż skupieni gromadnie, tworzą zwykłe tylko zbiegowisko, dopóki jakieś wspólne uczucie, lub cel wspólny nie podnieci ich i nie zjednoczy. Z chwilą, gdy jakiś wypadek nieoczekiwany skoncentruje w jeden punkt ich myśli i spojrzenia, gdy jakieś nieprzewidziane niebezpieczeństwo, oburzenie jakieś wznieci w ich sercach jedno i to samo pragnienie, zaczynają powoli łączyć się w jedną całość, i ten pierwszy stopień skupienia społecznego stanowi tłum. Nawet zwykli czytelnicy dzienników, dopóki czytają tylko ogłoszenia, lub informacye treści praktycznej, odnoszące się do ich spraw osobistych, nie stanowią jeszcze publiczności. I gdyby to było prawdą, że, jak niektórzy utrzymują, w przyszłości rubryki ogłoszeń dziennikarskich będą się zwiększały stale, kosztem działu politycznego, przekreślam wszystko, co napisałem powyżej o wpływie dziennikarstwa na przeobrażenia społeczne. Nawet w Ameryce *) nic podobnego się nie zdarza. Czytelnicy danego czasopisma stają się właściwą publicznością dopiero z chwilą, gdy dadzą się porwać jednej i tej samej idei lub namiętności. Zatem w klasyfikacyi tłumów,

*) Amerykanin Giddings w pięknej swojej pracy p. n. „Zasady Socyologii” wspomina o ważnej roli dzienników podczas wojny o niepodległość Stanów południowych. Przy tej sposobno-

jak i publiczności, należy bezwarunkowo i wyłącznie opierać się na celu, do jakiego dążą, i ich uczuciowej dyrektywie. Przedewszystkiem jednak należy zwrócić uwagę na to, co w nich przeważa: wiara, czy idea — praca celowa, czy pożądanie. Tłum może wierzyć lub żądać czynu — istnieje też publiczność wierząca i publiczność żądna czynu, albo raczej — gdyż u ludzi w gromadzie, lub w grupach rozrzuconych na znacznych przestrzeniach, każda myśl i uczucie dochodzi do najwyższego stopnia napięcia — istnieją tłumy i grupy publiczności sfanatyzowane, namiętne i despotyczne. Należy więc wybierać pomiędzy temi kategorjami.

Publiczność jest jednak mniej niż tłum bezwzględna, mniej od niego despotyczna i mniej arbitralna, lecz ten jej despotyzm i samowola, chociaż nie objawiają się w tak ostrej formie, jak w tłumie, są raczej stałym, chronicznym często jej stanem.

Tłum wierzący lub żądny czynu różni się zawsze zasadniczo od stowarzyszenia lub sekty, z której się wyłonił. To samo ma miejsce i z publicznością różnego rodzaju, bo, jak mówiliśmy już, publiczność powstaje zawsze z uorganizowanych skupień społecznych i wyobraża ich przemianę nieorganiczną.

Zatrzymajmy się chwilkę przy tłumach. Tłum, ta

ści zaprzecza kategorycznie twierdzeniu, jakoby „codzienny potop wygłaszanych przez prasę poglądów nieosobistych, niweczył wszelki wpływ indywidualny“. „Prasa—powiada Giddings—wywiera maximum swego wpływu wtedy, gdy przemawia głosem, jakiejś wybitnej osobistości, jakiegoś Garissona lub Greeley'a“. Publiczność nie zdaje sobie sprawy, że w każdej redakcyi znajduje się jakiś człowiek i idea, nieznany światu, i ten wyciska swoje piętno indywidualne na danem czasopiśmie.

grupa bezkształtna, napozór zapładniająca się samoroźnie, rodzi się zawsze z jakiegoś ciała społecznego, którego części składowe w niej fermentują i dają swoje zabarwienie *).

Musimy więc odróżnić średniowieczne tłumy wieśniaków, złożone z krewnych i powinowatych, gromadzące się dokoła suzerenów, owładnięte urokiem jego władzy i posłuszne jego namiętnościom, od tłumów biczowników z tejże epoki, co głosem kapłana-proroka wezwani, gromadziły się na drogach rozstajnych i wygłaszały swoje wyznanie wiary. Musimy odróżnić tłumy modlących się pątników, prowadzone przez duchowieństwo kompanią do Lourdes, od zbuntowanych i wrzaskliwych tłumów, podżeganych przez jakiegoś Jakobina i od tłumów robotniczych, zgłodniałych i wynędzniałych, posłusznych syndykatom. Tłumy, złożone z ludności rolnej trudniej niż inne w ruch wprowadzić, lecz raz podniecone, są bardziej od innych niebezpieczne. Żadne ruchy uliczne w Paryżu nie spowodowały takich spustoszeń, jak wojna chłopska, która niszczyła wszystko, co było pod ręką.

Tłumy religijne są najspokojniejsze, skłonność do występu budzi się w nich dopiero wtedy, gdy zostaną obrażone nietolerancją tłumy różnowierców wrogo usposobionych i, jak każdy tłum, bezwzględnych. Pojedyncze jednostki mogą być liberalne, każda z osobna, mogą szanować przekonania innych, lecz w gromadzie stają się despotyczne i tyranizują. A to dlatego, że

*) Dzieje się tak nawet w tym wypadku, gdy tłum jest narostem publiczności—jak to już mówiłem—tak samo gdy publiczność jest przeobrażeniem jakiejś uorganizowanej grupy społecznej, stronnictwa, sekty lub korporacji.

wskutek obcowania wzajemnego podniecają się zobopólne uczucia i przekonania, a żadna głęboka wiara nie znosi opozycji. Starcia tego rodzaju były przyczyną owych strasznych rzezi w IV wieku po Chr., kiedy krew Aryan i wiernych synów kościoła broczyła ulice Aleksandryi.

Tłумы polityczne, złożone zwykle z ludności miejskiej, są najniebezpieczniejsze i najbardziej roznamiętnione, na szczęście jednak są bardzo zmienne i z nadzwyczajną łatwością przechodzą z nienawiści do uwielbienia, z gniewu do wesołości.

Tłумы, powołane do życia w imię spraw ekonomicznych i przemysłowych, podobnie jak tłумы wiejskie, są więcej od innych jednolite i zgodniejsze w swoich żądaniach, bardziej skupione i silniejsze, lecz nawet w największem uniesieniu skłonniejsze są do niszczenia dobrobytu swoich przeciwników, niż do zbrodni.

Tłумы estetyczne, które wraz z religijnymi należą do tłumów wierzących, były dotąd lekceważone, nie wiem z jakiego powodu. Nazywam tak tłумы, gromadzące się przed sztandarem jakiejś dawniejszej lub nowszej szkoły literackiej lub artystycznej, w imię potępienia lub popierania jakiegoś np. utworu dramatycznego lub muzycznego. Są to, być może, tłумы najbardziej nietolerancyjne, ponieważ wygłaszają sądy bezwzględne i subiektywne, oparte jedynie na pewnych upodobaniach. Uczuwają one tem większą potrzebę udzielania innym swego zapalu dla tego lub owego artysty czy autora, np. dla Wiktora Hugo, Wagnera, Zoli, albo też swego wstrętu do Zoli, Wagnera, Wiktora Hugo i t. p., o ile te ich uczucia i poglądy są mniej umotywowane, jeżeli na ich poparcie nie mogą znaleźć innego motywu, oprócz chęci propagowania swoich

osobistych upodobań artystycznych. Jeżeli więc znajdą się wobec tłumu oponentów, następuje starcie, czasem krwią oblane.

Czyż w XVII stuleciu nie płynęła krew stronników a także i przeciwników muzyki włoskiej?

Wszystkie tłumy, bez względu na różnicę pochodzenia i właściwości, mają pewne wspólne cechy: nadzwyczajną bezwzględność, dziwaczną pychę, chorobliwą podejrzliwość, absolutny zanik odpowiedzialności za swoje czyny, wynikający z ułudnego wyobrażenia o swojej wszechmocy, zupełny brak pojęcia miary jakiegokolwiek, który pochodzi z nadzwyczajnego napięcia ich uczuć, wzajemnie podniecających.

Tłum nie zna uczuć pośrednich pomiędzy nienawiścią a uwielbieniem, pomiędzy wstrętem a zapałem. Pomiedzy okrzykiem: „niech żyje” a „śmierć mu”, nie zna żadnego paliatywu.

„Niech żyje” to znaczy niech żyje na wieki. W okrzyku tym brzmi życzenie boskiej nieśmiertelności, początek apoteozy. Drobiazg wystarcza, by tłum skazał to bóstwo na potępienie wieczyste.

Otóż, zdaje mi się, że wiele podobnych różnic i pojęć może się odnosić i do publiczności, tylko, że w niej cechy powyższe nie objawiają się tak jaskrawo.

Publiczność, podobnie jak tłum, bywa bezwzględna, pyszna, zarozumiała, przesadna, a w imię opinii wymaga, by wszystko się przed nią korzyło, nawet prawda, jeżeli ta jej nie dogadza. Czyż nie widzimy, że w miarę budzenia się ducha zbiorowego, ducha publiczności, jeżeli nie tłumu, skutek przyśpieszonego ruchu umysłowego w naszym społeczeństwie tegoczesnym, zanika coraz bardziej poczucie miary? Z równą skwapliwością przecenia się jak obniża ludzi i ich utwo-

ry. Nawet krytycy literaccy stają się wiernem echem tych skłonności swoich czytelników, nie umieją już prawie odpowiednio zabarwiać ani umiarkować swojej oceny; sami uwielbiają tylko lub „mieszają z błotem”. Jakże już jesteśmy dalecy od jasnych sądów jakiegokolwiek Sainte-Beuve’a! Pod tym względem właśnie różne rodzaje publiczności, podobnie jak tłumy, przypominają po trochu alkoholików; i w rzeczy samej intensywne życie zbiorowe działa na mózg, jak alkohol.

Publiczność, bez względu na swoje pochodzenie, różni się od tłumu tem, że wiara czy idea jakaś łączy o wiele liczniejsze jej zastępy, niż namiętne uniesienia lub żądza czynu, podczas gdy tłumy wierzące, ideowe są tak nieliczne, że nie można ich nawet porównywać ilościowo z tłumami, owładniętymi namiętnością niszczącą.

Nietylko publiczność religijna lub estetyczna — pierwsza powstała z kościoła, drugą wytworzyły różne szkoły artystyczne — ma zawsze jakieś credo lub piastuje jakiś ideał, ale także posiada je publiczność naukowa i filozoficzna w rozmaitych swoich odcieniach; nawet publiczność, hołdująca wyłącznie sprawom ekonomicznej natury, idealizuje też zawsze swoje potrzeby materialne. W ten sposób dzięki przeobrażaniu się wszystkich grup społecznych w różne odłamy publiczności, świat dąży do coraz szerszego rozwoju swoich władz intelektualnych. Co się zaś tyczy grup publiczności czynnej, możnaby przypuścić, że one wcale nie istnieją, właściwie mówiąc, gdyby nie było wiadomo, że grupy te powstają z łona stronnictw politycznych i członkom instytucji rządowych narzucają wymagania, podsuwane im przez niektórych dziennikarzy.

W każdym razie działalność inteligentnej i oświe-

conej publiczności przynosi daleko więcej pożytku, niż działalność tłumów*).

VII.

Łatwo tego dowieść. Bez względu na pobudki gromadzenia się tłumów, czy spowodowała je wspólność wiezeń czy też pragnień, tłum zawsze wyobraża jeden z czterech typów, które określają stopień jego bierności, czy też energii czynu. Tłumy bywają: oczekujące, manifestujące, obserwujące albo czynne.

Tak samo można segregować publiczność. Tłumem oczekującym będzie tłum zgromadzony w teatrze, przed podniesieniem kurtyny, lub dokoła szafotu, przed przybyciem skazańca; oczekuje tam na rozpoczęcie widowiska. Podobne tłumy idą na spotkanie panującego, albo gościa cesarskiego, lub pociągu, którym ma przyjechać jakaś osobistość popularna, trybun czy wódz zwycięzca; oczekują przybycia pociągu albo na pochód

*) Zwróćmy uwagę na jedną jeszcze różnicę. Publiczność zawsze manifestuje swoją obecność za pośrednictwem polemik prasowych, i wtedy jesteśmy świadkami walki dwu odłamów publiczności, często tylko wyobrażonej przez pojedynek dwu publicystów. Nadzwyczajnie rzadko wybucha walka pomiędzy dwoma tłumami, w rodzaju zatargu tłumów podczas procesy w Jeruzalem, opisanego przez Larromet'a. Tłum lubi iść samopas, sam się rozpościera, wznaga na siłach i całym ciężarem pada na pokonanego — pokonanego bez walki. Czasami wprawdzie zdarzają się starcia pomiędzy wojskiem regularnem a tłumem, który się rozbiega, gdy jest słabszy, lecz morduje i wycina w pień, gdy przeważa liczebnie. Widzimy też często, jak nie dwa tłumy, lecz jeden tłum dwugłowy — parlament podzielony na dwa stronnictwa — toczy ze sobą walkę na słowa lub pięści, jak to się często zdarza w Wiedniu i Paryżu.

królewski. W takich tłumach ciekawość zbiorowa dochodzi do najwyższego stopnia naprężenia, bez najmniejszego stosunku do przedmiotu, jaki ją wywołuje, bo często jest to rzecz błaha. Rozciekawienie tłumu jest o wiele silniejsze i bardziej przesadne, niż oczekującej publiczności, jakkolwiek i tutaj ciekawość objawia się dość jaskrawo, jak to bywa np. wśród milionów czytelników danego dziennika, podnieconych jakąś sprawą sensacyjną, oczekujących wyroku, decyzji stanowczej, lub jakiegokolwiek wiadomości. Nawet człowiek najmniej ciekawy i najbardziej stateczny, znalazłszy się wśród tłumu, rozgorączkowanego ciekawością, przyłącza się do niego—lecz pyta siebie: „dlaczego stanąłem, wiedząc, że terminowe zajęcie powołuje mnie gdzieś indziej, dlaczego odczuwam dziwną potrzebę zobaczenia teraz powozu cesarskiego lub karego wierzchowca generała, tak samo jak i ci, co mnie otaczają?” Należy zwrócić uwagę, że wogóle tłum oczekujący jest o wiele cierpliwszy od jednostki w podobnym wypadku.

Podczas uroczystości, dawanych na cześć Rosyan w Paryżu, po trzy lub cztery godziny wystawały tłumy nieruchome, skupione, bez najmniejszych oznak zniecierpliwienia, oczekujące na pochód cesarski. Czasami jakiś ekwipaż brano za początek pochodu, lecz spostrzegłszy pomyłkę, czekano dalej spokojnie, a złudzenia i rozczarowania kilkakrotne nie wywoływały nawet rozdrażnienia, tak naturalnego w zwykłych warunkach. Wiadomo również, jak dużo czasu przepędzają tłumy ciekawe, oczekujące na przegląd wojsk, nieraz na deszczu, a nawet w nocy. Odwrotnie zdarza się z publicznością w teatrze: początkowo spokojna, zrezygnowana, pomimo niezwykłego opóźnienia, nagle się zniecierpliwi i nie chce dłużej czekać ani minuty.

Dlaczego tłum jest zawsze cierpliwszy lub bardziej zniecierpliwiony od pojedynczej jednostki? Oba wypadki można objaśnić jedną i tą samą przyczyną psychologiczną: skłonnością do zarażania się uczuciami osobników w tłumie. Dopóki w jakimś zgromadzeniu niema oznak zniecierpliwienia, dopóki nie słyszy się krzyku, tupania i stukania laskami — a objawy te nie występują naturalnie bezcelowo, przed wykonaniem wyroku śmierci lub przeglądem wojsk — każdy z obecnych zostaje pod wpływem wesołego lub spokojnego zachowania się swoich sąsiadów, bezwiednie podziela ich wesołość czy też spokój. Jeżeli zaś ktokolwiek — gdy to może skrócić oczekiwanie np. w teatrze — okaże zniecierpliwienie, wówczas wszyscy go naśladują, a niecierpliwość pojedynczego osobnika potęguje się ogólnem podnieceniem. Jednostki w tłumie osiągają najwyższy stopień wzajemnego przyciągania duchowego, a zarazem najsilniej odpychają się fizycznie. Odpychają się łokciami, ale zespalają się uczuciowo ze swymi sąsiadami i wyrażają jednakie pragnienia, a w rozmowach, jakie się między nimi zawiązują, objawiają chęć przypodobania się sobie nawzajem, bez względu na różnice stanów i położenia towarzyskiego.

Tłumy obserwujące gromadzą się dokoła katedr mówców i profesorów, trybuny, estrady lub sceny, na której się ma rozegrać jakiś dramat patetyczny. Skupienie ich uwagi, jak również i stopień roztargnienia, jest zawsze o wiele wyższy, niż byłby u każdego pojedynczego osobnika samego, nie w tłumie.

Jeden z profesorów uniwersytetu, mówiąc o tłumie oczekującym, zrobił bardzo słuszną uwagę: „Audytoryum jakiegokolwiek wydziału, złożone z młodzieży, jest zawsze uważne i pełne szacunku dla profesora, jeżeli nie jest zbyt liczne, lecz gdy się ich zbierze

setka, dwustu lub trzystu, przestają słuchać i zwracać uwagę na katedrę, a bardzo często zachowują się hałaśliwie. Podzieliwszy setkę niespokojnych i burzliwych studentów na 4 grupy, po 25 w każdej, będziemy mieli audytoryum uważne i pełne szacunku". To znaczy, że uczucie dumy z powodu swej liczebnej przewagi odurza i upaja ludzi w gromadzie i każe im lekceważyć człowieka pojedynczego, który do nich przemawia, jeżeli tylko nie udało mu się olśnić i „oczarować” słuchaczy. Należy jednak dodać, że z chwila, gdy mówca zawładnął bardzo dużem audytoryum, okazuje ono o tyle większy szacunek i o tyle uważniej słucha, im jest liczniejsze.

Jeszcze jedna uwaga. W tłumie zainteresowanym jakimś widowiskiem, czy też przemówieniem, niewielka tylko ilość osób zgromadzonych widzi i słyszy wszystko dobrze, wielu z nich widzi i słyszy zaledwie połowę lub nic prawie, a jednak nieraz ci najgorzej umieszczeni, chociaż drogo zapłacili za miejsce, nie żałują czasu, ani pieniędzy i są zadowoleni.

Ci ludzie, co np. przez dwie godziny oczekiwali na przejazd cesarza, ściśnięci kilkoma rzędami osób, stojących przed nimi, nic nie widzieli, chociaż cesarz przejechał, a jedyną ich uciechą było to, że mogli słyszeć mniej lub więcej wyraźny turkot ekwipaży, czasami nawet zwodniczy. Pomimo to, wróciwszy do domu, opowiadali o tem widowisku tak, jakby byli jego naocznymi świadkami, gdyż w istocie patrzyli na nie oczyma innych. Byliby mocno zdziwieni, gdyby im kto powiedział, że mieszkaniec prowincyi, oddalony o 200 mil od Paryża, który w piśmie illustrowanem oglądał migawkową fotografię przejazdu cesarskiego, widział wszystko daleko lepiej, aniżeli oni, chociaż byli na miejscu. Dlaczego w to nie wierzą? Dlatego,

że w takich wypadkach naprawdę to tłum sam dla siebie jest widowiskiem. Tłum przyciąga i podziwia tłum.

Pomiędzy tłumami biernymi, o których powyżej była mowa, a tłumem przejętym żądzą czynu, tłum manifestujący zajmuje miejsce pośrednie. Cokolwiek taki tłum objawia — miłość namiętną czy nienawiść, radość czy smutek — wszelkie uczucia manifestuje z właściwą sobie gwałtownością. Występują wtedy na jaw dwie cechy, mające w sobie coś kobiecego: symbolizm bardzo wyraźny, połączony z wielkiem ubóstwem wyobraźni. Używają zawsze jednych i tych samych symbolów: obnoszą chorągwie, sztandary, posągi i relikwie, niekiedy głowy na końcach bagnetów, powtarzają aż do przesytu okrzyki: „wiwat” lub inne nawoływania, śpiewają kantyczki lub pieśni — oto prawie wszystko, na co zdobywa się tłum manifestujący w celu wyrażenia swoich uczuć.

A jednak jeżeli tłumy tego typu okazują niewielką pomysłowość w zewnętrznych swoich objawach, to za to wielką wagę przywiązują do swojej symboliki, bezustannie wydają jednobrzmiące tony i zawsze rozpoczynają jedne i te same pochody.

Publiczność, doszedłszy do pewnego stopnia podniecenia, staje się też manifestującą. Obie swoje uczucia nietylko pośrednio, powołując do życia tłum, lecz przedewszystkiem bezpośrednio, przez oddziaływanie na umysły tych nawet, którzy ją podniecili, którzy potem już nie mogą powstrzymać wylewów liryzmu czy zniewagi, pochlebstwa czy oszezerstw, utopijnych majaczeń lub krwiożerczych furi, płynących z pod pórą posłusznych jej dziennikarzy — prowodyrów, co niewolnikami się stali. Manifestacye takiej publiczności są bardziej urozmaicone i niebezpieczniejsze,

niż manifestacye podobnego tłumu, i należy żałować tego geniuszu wynalazczego, który w pewnych momentach wyczerpuje się na dowcipne pomysły, baśnie o cechach prawdopodobieństwa, bezustannie zaprzeczane i wznawiane bezustannie, jedynie dla prostej przyjemności podawania strawy, żądanej przez daną publiczność, wypowiedania tego, co ona uznaje za prawdę, lub co chce za prawdę uznawać.

Przejdźmy do tłumów żadnych czynu. Lecz co tłum może wykonać? Wiemy, co może zniszczyć, zniweczyć, lecz co może wytworzyć wobec braku wewnętrznej jednolitości, braku skoordynowania swoich wysiłków? Korporacye, sekty, stowarzyszenia zorganizowane są wytwórcze, jak również i niszczące.

Zakonnicy w średnich wiekach budowali mosty, na Zachodzie karczowali całe prowincye, zakładali miasta, Jezuici w Paragwaju organizowali falanstery, najbardziej udatne ze wszystkich prób tego rodzaju, masoni wybudowali większą część naszych świątyń. Ale czy można wskazać jeden chociaż budynek przez tłum postawiony, jeden kawałek ziemi wykarczowany i uprawiony jego rękoma, jakkolwiek gałąź przemysłu stworzoną przez tłum.

Za kilka nędznych krzewów Wolności, przez tłum zasadzonych, ileż spalonych lasów, domów zrabowanych, zamków przez niego zniszczonych! Za jednego więźnia, czasami wypuszczonego na wolność, ileż głów oskalpowanych przez pospólstwo amerykańskie, ileż więzień zdobytych szturmem przez bandy rewolucjonistów, by wyciąć w pień przestępców znienawidzonych, budzących niechęć lub obawę!

Tłumy czynne można podzielić na tłumy kochające i nienawistne. Na jakież czyn owocny tłum kochający

zużytkuje swoją działalność? Niewiadomo co zgubniejsze: nienawiść czy miłość tłumu, jego przekleństwo czy uwielbienie. Gdy tłum, żądny krwi, wyje — jest straszny, to prawda; lecz gdy rzuca się, wielbiąc, do stóp swego bożyszczka uosobionego, gdy wyprzęga konie i ciągnie powóz swego ulubieńca, gdy na barkach swoich podnosi go w górę, to takim przedmiotem jego uwielbienia, twórcą dyktatury lub tyranii jest najczęściej jakiś pół-waryat, jak np. Masanello, zwierz dziki w rodzaju Marata, albo taki szarlatan, jak generał Boulanger. Nawet, gdy tłum szalonymi owacyami darzy bohatera, jak np. Bonapartego po powrocie z kampanii włoskiej, tylko mu zgubę gotuje, bo nadmiernie wzniecone zarzewie pychy geniusz jego w obłęd przeobraża. Największy zapal w tłumie budzą takie osobniki, jak Marat. Apoteoza tego nędznika, cześć dla jego „świętego serca”, złożonego w Panteonie, jest jaskrawym przykładem zaślepienia i halucynacji, do jakiej dochodzi człowiek w gromadzie. Jedną z pobudek tego uniesienia była i podłość zbiorowa — chociaż słaby to czynnik wogóle i jakby zamaskowany ogólną szczerością.

Śpieszę jednak nadmienić, że pewien rodzaj tłumów kochających, dość często występujący na arenę życia zbiorowego, gra bardzo użyteczną rolę w społeczeństwie, prawie rolę zbawcy, bo jest przeciw wagą zła wyrządzanego przez inne grupy. Mam tu na myśli tłumy świąteczne, radosne, tłumy zakochane same w sobie, upojone przyjemnością gromadzenia się, jedynie dlatego, aby się zgromadzić. Mówiąc o tym tłumie, wykreślam wszystkie materialistyczne i ciasne poglądy na nieprodukcyjność działalności tłumów.

Produkcyjność przecież nie ogranicza się wyłącznie na wznoszeniu gmachów, wyrabianiu mebli, przy-

gotowywaniu odzieży i produktów spożywczych. Spokój społeczny i jedność zbiorowa, podtrzymywane przez uroczystości narodowe, uczty, festyny, wspólne zabawy całej wioski lub miasta, powtarzające się peryodycznie, podczas których zacierają się chwilowo wszystkie różnice i wszystkie uczucia zlewają się w jedno pragnienie, pragnienie zobaczenia się, zetknięcia, okazania sobie sympatii wzajemnych — ten spokój i ta jedność, to wytwór niemniej cenny, niż wszystkie płody ziemi i wszystkie wyroby przemysłu. Nawet uroczystości związkowe w 1790 roku, te krótkotrwałe momenty ciszy pomiędzy dwoma cyklonami, miały też pewien wpływ kojący, chociaż przelotny. Dodajmy jeszcze, że uniesienia patryotyczne — odmiana objawów miłości w jaźni zbiorowej (narodowej) — budziły często heroiczny zapał w tłumach, a chociaż bezpośrednio nie prowadziły do wygrania bitwy, to jednak wynikiem ich było bohaterstwo armii niezwycięzonej, wzbudzone w duszy żołnierzy, przez tłumy kochające ojczyznę.

Czyż, mówiąc o tłumach świątecznych, możemy zapomnieć o tłumach okrytych żałobą, co, uginając się pod ciężarem wspólnej boleści, idą za trumną przyjaciela, wielkiego poety, bohatera narodowego? One, to również stanowią energiczną podniecię życia społecznego, i przez te właśnie smutki, czy też radości wspólnie podzielane lud uczy się skupiać wszystkie swe pragnienia w jednym ognisku.

Wogóle tłumy bynajmniej nie zasługują na czynione im zarzuty, nawet i te, jakie i ja im robiłem. Jeżeli porównamy stałe i powszechne oddziaływanie tłumów kochających, zwłaszcza świątecznych, z działalnością tłumów nienawidzących, mającą zwykle charakter lokalny i peryodyczny, to w imię bezstronności musimy przyznać, że pierwsze daleko więcej zadzierz-

gnęły węzłów społecznych i daleko silniej je spoiły, niż drugie naderwały w nich nici. Przypuśćmy, że w jakimś kraju nie było nigdy nienawiści zbiorowej, lecz również nie znano tam uroczystości publicznych, radosnych manifestacji na ulicach, wybuchów narodowego entuzjazmu. Taka oschła, bezbarwna kraina byłaby gorszym terenem dla rozwoju uczuć patriotycznych, niż miejscowości najsilniej podminowane przez zaburzenia polityczne, nawet i rzezie krwawe, lecz gdzie zachowały się zwyczaje tradycyjne, gdzie, w przerwach pomiędzy tymi napadami szału, podobnie jak w średnio-wiecznej Florencyi, objawia się zamiłowanie do wspólnych obchodów religijnych czy świeckich, do wspólnych uciech, zabaw, procesyi, widowisk karnawałowych. A zatem tłumy, zgromadzenia, zetknięcia i wzajemne przyciąganie się ludzi więcej przynoszą pożytku niż szkody rozwojowi uczuć społecznych. Lecz tutaj, jak i wszędzie, to, co się widzi, przeszkadza myśleć o tem, czego się nie widzi. Stąd też bez wątpienia wynika zwykła surowość socjologa względem tłumów. Dodatni wpływ tłumów kochających i rozbawionych kryje się w głębi serca, nawet po uroczystości żyje tam długo, w postaci spotęgowania skłonności sympatycznych i zgodnych, tysiącem sposobów nieuchwytnych objawiające się w gestach, słowach, stosunkach życia codziennego. Przeciwnie czyn antyspołeczny tłumów nienawidzących rzuca się wszystkim w oczy, widok karygodnego postępku pozostaje na długo w pamięci i każe przeklinać samo jego wspomnienie.

Czyż mogę teraz, bez nadużycia metafory, mówić o publiczności czynnej? Publiczność, ten tłum rozproszony, czyż nie jest bierną w istocie? Nastrojona na pewien ton egzaltacji — o czem dziennikarze są uprzedzeni dzięki nałogowej „auskultacji” codzien-

nej — publiczność działa przez nich tak, jak za ich pośrednictwem manifestuje się i mężom stanu narzuca swoją wolę, a ci stają się jej wykonawcami. To się nazywa — potęgą opinii publicznej. Wprawdzie dowodzi ona przedewszystkiem potęgi swoich przewodników, którzy ją w ruch wprawili, lecz raz wyprowadzona ze stanu spoczynku, prowadzi nieraz tam, dokąd oni iść nie mieli zamiaru. Tak więc, działalność publiczności jest przedewszystkiem reakcją na wpływy publicysty; reakcja ta jest bardzo groźna niekiedy, i publicysta ulega naciskowi publiczności powołanej do czynu przez jego podniety. Działalność jej zresztą jest wyłącznie duchowa, jak i sama istota publiczności. Do czynu, tak samo jak i tłum, pobudza ją miłość lub nienawiść, lecz czyny publiczności miłością natchnionej mają cechy użyteczności bezpośredniej, bo nawet wtedy, gdy nagle powstają, są lepiej obmyślane i bardziej obrachowane, niż czyny tłumu. Dodatkowo ich wyniki nie ograniczają się zaś na objawach sympatii wśród jednostek, podniecanych codziennie wrażeniami duchowego obcowania. One to bowiem powołały do życia wiele dobroczynnych instytucji, opartych na wzajemnej pomocy i miłosierdziu.

Jeżeli uczucia radości czy bólu zbiorowego nie objawiają się wśród publiczności w pewnych określonych momentach, i nie są uświęcone tradycją, jak u tłumy, posiadają jednak taką samą zdolność zażegnania starć i kojenia serc ludzkich. Należy błogosławić prasę humorystyczną — nie mówię pornograficzną — za to, że stale podtrzymuje dobry nastrój wśród publiczności, tak korzystny dla ogólnej harmonii.

Znamy też i publiczność nienawidzącą, a zło, jakie wyrządza lub wywołuje, o wiele przewyższa spustoszenia dokonane przez tłum rozszałay. Publiczność

to tłum, tylko nie tak zaślepiiony i daleko trwalszy, a jego wyrozumowane rozwścieczenie wzmaga się i podtrzymuje przez całe miesiące i lata. Dlatego się dziwię, że mówiono niegdyś tak wiele o zbrodniach tłumy, a nie o zbrodniach publiczności. A przecież bez wątpienia istnieje publiczność występna, dzika, krwiożercza, tak jak istnieją występne tłumy, a jeżeli zbrodnie pierwszej są mniej jawne, to za to o ileż bardziej rzeczywiste, bardziej wyrafinowane, o ileż straszniejsze i mniej godne przebaczenia!

Zwykle dotąd zwracano jedynie uwagę na zbrodnie i przestępstwa popełnione względem publiczności, na kłamstwa, nadużycie zaufania, szantaże na wielką skalę, jakich ona tak często pada ofiarą, dzięki swoim przywódcom. Nie należy zapominać o zbrodniach i występkach popełnianych względem tłumy, niemniej ohydnych i częstych. Kłamię się na zgromadzeniach wyborczych, wyłudza ich głosy zwodniczą obietnicą, uroczystem przyrzeczeniem, którego naprzód nikt nie myśli dotrzymać, aby dojść do celu, wszystkie środki, nawet potwarz, są dobre. A o ileż łatwiej zwieść tłumy, niż publiczność, bo mówca nadużywający zaufania najczęściej nie ma oponenta, gdy tymczasem w każdej sprawie rozmaite czasopisma polemizują ze sobą i przeciwdziałają swoim wpływom. A zresztą chociażby nawet publiczność mogła stać się ofiarą zbrodni, czyż sama nie może splamić się występkiem?

Ponieważ była mowa o nadużyciu zaufania publiczności, muszę zaznaczyć nawiasem, jak dalece niejasnym, czysto indywidualnym jest pojęcie odpowiedzialności prawnej, w formie obecnie przyjętej przez prawodawców. Musi ono uleść przeobrażeniu, aby odpowiadało zmianom w zwyczajach i obyczajach społecznych, spowodowanych przez powstawanie i

wzrost publiczności. Aby mogła istnieć odpowiedzialność prawna jako następstwo obietnicy, to według pojęć przyjętych ogólnie potrzeba, aby obietnica była akceptowaną przez tego lub tych, do których się odnosi, co już nasuwa konieczność stosunków osobistych pomiędzy nimi. To było wystarczające przed wynalezieniem druku, gdy obietnice nie przekroczyły granic rozchodzenia się głosu ludzkiego i gdy ze względu na szczupłe rozmiary grup społecznych klient był zawsze osobiście znany przez dostawcę, dający przez obdarzonego, wierzyciel przez dłużnika, a zatem wszelkie umowy mogły mieć zawsze formę ważną i wzajemnie obowiązującą. Lecz od czasu tak wielkiego rozwoju prasy coraz rzadziej ludzie zawierają stosunki rozmaitego rodzaju z osobami określonymi, a coraz częściej z jakąś zbiorowością, za pośrednictwem dzienników, w handlu przyjmują zobowiązania przez reklamy, w polityce posługują się programami. Na nieszczęście zobowiązania te, nawet najbardziej uroczyste, są poprostu tylko wyrazem woli jednostronnej, nie potwierdzonej wzajemnością pragnień wspólnych, jest to więc zwykła obietnica nie akceptowana, która akceptowaną być nie może i jako taka nie podlega sankcyi prawnej*). To właśnie najbardziej sprzyja temu, co możnaby nazwać rozbojem społecznym. Możnaby tutaj zrobić zarzut, że gdy idzie o przyrzeczenia dane tłumowi, trudno jest uzyskać sankcyę prawną, a to ze względu na dorywczy charakter tłumu, który się gromadzi tylko na chwilę i nigdy ponownie w tym samym

*) Zob. w tej kwestyi pracę naszą p. n. Transformation du droit, str. 116 i 307.

składzie się nie odnajdzie. Słyszałem o pewnym kandydacie na deputowanego, który przysiągł wobec 4. tysięcy osób, że cofnie się na korzyść swego współzawodnika, republikanina, przy drugim głosowaniu, jeżeli przy pierwszym otrzyma mniej głosów od niego. Miał mniej głosów, nie cofnął się i został wybrany. To właśnie może zachęcać szarlatanów politycznych. Zgadzam się, że następstwa takiej obietnicy nie mogą prawnie zobowiązywać, z tej przyczyny, że gdy tłum się rozpierzchnie, niema nikogo, nawet z pośród uczestników, ktoby mógł go reprezentować i działać w jego imieniu. Publiczność zaś stale istnieje, nie widzę więc przyczyny, dla której czytelnicy wprowadzeni w błąd świadomie kłamliwą wiadomością, podaną za wiarogodną, wplątawszy się w nieszczęśliwą spekulację, narażeni na straty finansowe z powodu występnego kłamstwa, umyślnej, bezpodstawnej informacyi, nie mieliby prawa powołać do odpowiedzialności sądowej dziennikarza-nędznika i żądać zadosyćuczynienia. Może wówczas kłamstwo publiczne, zamiast być, jak obecnie, okolicznością łagodzącą i zmazującą winy, tem bardziej obciążałoby winowajcę, im liczniejszą była publiczność przez niego oszukana*). Trudno pojąć, w jaki sposób pisarz, który w życiu prywatnem nie poważyłby się kłamać bezczelnie, z lekkim sercem okłamuje setki tysięcy osób, czytających jego elukubracye, a ludzie, wiedząc o tem, nie przestają go szanować jako człowieka uczciwego.

Porzućmy jednak tę kwestyę prawną i powróćmy

*) Pewne odłamy publiczności i niektóre grupy ludzi tem łatwiej w błąd wprowadzić, im są liczniejsze, jak o tem dobrze wiedzą rozmaici kuglarze.

do zbrodni i występków publiczności. Istnieje niewątpliwie publiczność obłąkana — taką była napewno publiczność ateńska, gdy kilka lat temu zmuszała swój rząd do wypowiedzenia wojny Turcyi. Niewątpliwie też istnieje publiczność występna. Czyż było kiedykolwiek ministerjum, któreby pod naciskiem opinii publicznej, lub prasy wpływowej nie musiało postawić wniosku — nie chcąc zginać z honorem — i poddać pod głosowanie uchwały, będącej wyrokiem prześladowania tej lub owej kategorii obywateli? Występki publiczności pozornie mają mniej okrutne zabarwienie, niż występki tłumu. Różnią się od tych ostatnich czterema własnościami: 1) nie budzą takiego wstrętu; 2) celem ich jest raczej zemsta, niż interes osobisty; 3) presya przez nie wywierana jest stalsza i szersze obejmuje kręgi; 4) mają one większą jeszcze gwarancję bezkarności, niż występki tłumu. Jeżeli chodzi o przykłady występków tłumu, to „Rewolucya” Taine’a dostarczy nam ich aż nadto.

We wrześniu roku 1789, w miasteczku Troyes, zaczęły krążyć wieści, oskarżające tamtejszego mera Huez’a. „To łapownik — wołano — chce ludzi sianem karmić”. Huez zaś był człowiekiem znanym z dobroczynności i oddał miastu wielkie usługi. To nic nie znaczy. W dniu 9 września znaleziono trzy wozy zepsutej mąki, ludność gromadzi się tłumnie i wykrzykuje: „Precz z merem, śmierć mu!” Rzucają się na Huez’a, gdy wychodził z gmachu sądowego, powalili na ziemię, deptają, biją kulakami, wreszcie sandałem rozcinają mu głowę. Jakaś kobieta rzuca się na ciało starca, rozgniała mu twarz stopami i kilkakrotnie wbija w oczy nożyczki. Zarzuciwszy powróż na szyję, ciągną następnie biednego męczennika do mostu i wrzucają w pobliską kałużę, potem wydosta-

stają i znowu ciągną ulicami do rzeki „ze źdźbłem siana w ustach”. W ślad zatem idą grabieże, burzenie domów; „u jednego notaryusza przeszło 600 buletek wypito i zrabowano” *).

Te mordy zbiorowe nie są, jak widzimy, spowodowane chciwością, tak samo, jak i występki publiczności rewolucyjnej, która w tej samej epoce za pośrednictwem dzienników lub swoich steroryzowanych reprezentantów układa listy proskrypcyjne, układa prawa konfiskaty posiadłości swoich ofiar, aby je wyzuć z mienia. Nie, tu działają pobudki zemsty, tak samo, jak przez zemstę wycięte w pień, giną całe plemiona w klanach ludów dzikich; jest to wynikiem potrzeby ukarania winnego istotnie, czy też pozornie, na podobieństwo lynchu amerykańskiego. W każdej epoce, w każdym kraju tłum zbrodniczy lub drapieżny zastrzega sobie prawo sądu, a sprawiedliwość przez niego wymierzana przypomina bardzo rodzajem mściwej kary, niesłychanem okrucieństwem, nawet przez swój symbolizm — jak np. źdźbło siana w ustach Huez'a — sprawiedliwość u ludów pierwotnych.

Czyż można nazwać zbrodniczym tłum doprowadzony do obłędu przeświadczeniem, że jest zdradzony, że go chcą wytępić, głodem zamorzyć? Zbrodniarzem jest tutaj podżegacz, lub grupa podżegaczy, twórca, albo twórcy potwarzy. Okolicznością, usprawiedliwiającą największe nawet występki tłumowi, jest jego łatwości, przypominająca pod tym względem me-

*) Révolution, tom I str. 88. W tej samej epoce jeszcze gorzej zachowywał się tłum w Caen. Major Belsunce był rozszarpany na kawałki, jak La Pérouse na wyspach Fidżi, a pewna kobieta zjadła jego serce.

dyum w śnie hypnotycznym. Publiczność jest daleko mniej łatwowierna, i z tego powodu w daleko wyższym stopniu odpowiedzialna za swoje czyny.

Człowiek w gromadzie łatwiej wszystkiemu wierzy, niż każdy z osobna, gdyż sam fakt skupienia uwagi zbiorowej na jeden i ten sam przedmiot wytwarza pewien rodzaj modernizmu i zbliża tłum do stanu marzeń sennych, lub hypnozy, podczas których ograniczony stopień świadomości całkowicie poddaje się pierwszemu nasuniętemu wyobrażeniu, tak dalece, że każde twierdzenie, wypowiedziane głosem pewnym i donośnym, zawiera w sobie moc przekonywającą. Podczas wojny 1870 roku po pierwszych naszych porażkach, w wielu miejscowościach na prowincyi krążyły wieści, że niektórzy właściciele większych obszarów ziemi, a nawet i księża, oplacają się Prusakom, że posyłają im znaczne kwoty, po sto i dwieście tysięcy franków. Opowiadano to o ludziach bardzo uczciwych a tak zadłużonych, że z trudnością mogliby zdobyć się nawet na dziesiątą część podobnej sumy, i synowie niektórych służyli pod sztandarami wojska francuskiego.

Baśnie te bratobójcze nie znalazłyby posłuchu włościan rozproszonych po wsiach i polach, lecz zgromadzeni na jarmarkach i targach zaczęli im wierzyć, a morderstwo Hautefaya było tego krwawem świadectwem.

Tłumy nie tylko są łatwowierne, są one też obłąkane. Niektóre cechy tłumy przypominają mieszkańców domu waryatów: hipertrofia pychy, brak tolerancji i umiarkowania we wszystkim. Tłumy dochodzą do dwóch skrajnych biegunów podniecenia i depresji: raz kierują nimi porywy bohaterskie, to znowu

strach paniczny. Podlegają też zbiorowym halucynacjom, bo człowiek w gromadzie widzi i słyszy takie rzeczy, jakich nie zauważy żaden pojedynczo. A gdy się im zdaje, że są ścigani przez wrogów, mniemanie to jest oparte na logice obłąkanych. Jaskrawe tego przykłady znajdujemy u Taine'a. Pod koniec lipca 1780 roku gdy wskutek rozruchów ulicznych gromadziły się rozgorączkowane tłumy na ulicach i placach publicznych, w rozmaitych okolicach kraju rozchodziły się wieści o przybyciu dziesięciu czy dwudziestu tysięcy rozbójników, widziano ich to tu, to tam — oto na horyzoncie podnoszą się tumany pyłu, już idą i wszystkich w pień wytną. „Wtedy całe gminy uciekają do lasów, w nocy opuszczają mieszkania, unoszą dobytek”. Rzecz się wyjaśnia, wracają do swoich siedzib. Wówczas to rozpoczynają rozumować tak, jak chorzy na manię prześladowczą: człowiek dręczony chorobliwym uczuciem strachu wynajduje wrogów na swoje usprawiedliwienie. „Uciekaliśmy, mówią oni, dlatego, że czyhała na nas zguba, więc jeżeli nam nie grozi niebezpieczeństwo ze strony rozbójników, to musi grozić skądinąd” — skądinąd to znaczy ze strony mniemanych spiskowców. Wynikiem tego są krwawe starcia. Czyżby to znaczyło, że zbrodnie zbiorowe nie istnieją w rzeczy samej? Czyżby należało brać pod uwagę tylko indywidualne zbrodnie prowodyrów?

To zaprowadziłoby nas zbyt daleko i w ostateczności naraziło na szwank prawdziwość poprzednich wywodów. Kiedy tłum zgromadzony w arenie cyrkowej starożytnego Rzymu, dla swojej uciechy, jednym ruchem ręki skazywał na śmierć pokonanego gladyatora, czyż nie był on krwiożerczym i występny, pomimo okoli-

czności łagodzących, jakimi były zwyczaje po przodkach odziedziczone?

Istnieją też tłumy, które urodziły się występny, a nie stały się nimi przypadkowo; tak występne jako i wybrani przez nich prowodyrzy, dzięki temu właśnie pokrewieństwu duchowemu nad tłum wyniesieni; są to tłumy złożone ze złoczyńców, zjednoczonych wspólną skłonnością występnych, których zwyrodnienie spotęgowało się w gromadzie do tego stopnia, że właściwie stali się oni nietylko zbrodniarzami, ile furiatami — jeżeli dla kryminalistyki zbiorowej zapożyczymy tego wyrażenia z patologii osobniczej. Furiat jest niebezpiecznym i wstrętnym waryatem, który zabija lub gwałci z pobudek chorobliwych, i objawy te są u niego nietylko zboczeniem, ile wynikają z rozkiełzania natury złej, przewrotnej, egoistycznej, są więc wybuchem niehamowanych skłonności normalnych; taki waryat występuje w postaci zbiorowości, gdy podczas rozruchów więziennych skazańcy, uciekając z wygnania, wyprawiają krwawe orgie.

Jakże daleką od tego wszystkiego jest publiczność występna! Publiczność staje się występna raczej przez wzgląd na dobro jakiegoś stronnictwa, niż przez zemstę, raczej przez podłość, niż okrucieństwo, teroryzuje pod wpływem strachu, a nigdy gniewu gwałtownego. Skłonną jest zwłaszcza do występnej wyrozumiałości w stosunku do swoich kierowników, do manutengolizmu, jak powiadają Włosi. Pocóż jednak mamy interesować się występkami publiczności, przecież ona stanowi opinię, a opinia jest wszechwładna i nieodpowiedzialna za swoje czyny! Występkom tym zresztą można przeciwdziałać, jeżeli są jeszcze w fazie usiłowań, a nie stały się faktem dokonanym. Lecz to prze-

ciwdziałanie może być skierowane jedynie przeciwko publicystom, którzy dali impuls do czynu, lub przeciwko prowodyrom tłumów, powstałych z łona publiczności działającej. Właściwa publiczność pozostaje w cieniu, nieznana, nieuchwytna, oczekującą chwili właściwej do ponownego wystąpienia.

Gdy tłum popelnia zbrodnie — począwszy od parlamentów tego tłumy nawpół zorganizowanego, będącego tak często posłusznym narzędziem w ręku despoty — zawsze poza nim znajduje się publiczność, budząca go do czynu.

Czyż publiczność wyborcza, powoławszy na deputowanego sekciarza i fanatyka, nie gra żadnej roli w jego „bezprawiach, w jego zamachach na wolność, mienie i życie obywateli”?

Czy bardzo często nie wybiera go ponownie i czy tem samem nie sankcyonuje jego samowoli? Nietylko publiczność wyborcza jest współniczką występków, lecz nawet i niewyborcza, bierna napozór działa za pośrednictwem tych, którzy jej schlebiają i starają się pozyskać jej względy.

Od chwili, gdy zaczęła się tworzyć publiczność, największe zbrodnie dziejowe dokonywały się przy współdziałaniu publiczności występnej: noc św. Bartłomieja — prawdopodobnie; prześladowanie protestantów za Ludwika XIV — niewątpliwie, i tyle innych! — Rzeź wrześniowa była entuzyastycznie przyjęta przez pewien odłam publiczności, i bez prowokacyi teje nie miałyby miejsca. Czyż występkі mniejszej wagi, jak np. oszustwa wyborcze, jakie zwykle się zdarzają w niektórych miastach, nie są występkami zbiorowymi, po-

pełnionymi przy współdziałale mniej lub więcej uświadomionej publiczności?

Jest to ogólną lub prawie ogólną zasadą, że poza tłumem występny stoi publiczność w wyższym jeszcze stopniu występna, a na jej czele najwięksi przestępcy — publicyści.

Potęga tych ostatnich polega przede wszystkim na instynktownej znajomości grupy, z którą mają do czynienia; znają oni jej upodobania i wstręty do tego stopnia, że wiedzą np., iż w stosunku do publiczności mogą sobie bezkarnie pozwolić na cynizm ryciny pornograficznej, jakiej tłumby nie zniósł. W tłumach teatralnych objawia się pewna wstydlivość zbiorowa, będąca przeciwstawieniem cynizmu indywidualnego zgromadzonych jednostek*), a której brak wśród publiczności niektórych czasopism. Można by powiedzieć, że zbiorowy trud moralny tej publiczności powstaje z pierwiastków względnie czystych. W każdym jednak skupieniu — w publiczności czy w tłumie — objawia się, na nieszczęście, zawsze jedna i ta sama cecha, t. j. ujemna bardzo skłonność ulegania pobudkom nienawiści i zazdrości. W tłumie — potrzeba nienawidzenia odpowiada potrzebie czynu. Podniecanie jego entuzjazmu nie zaprowadzi daleko, lecz dać powód lub przedmiot nienawiści, to dać mu sprężynę działania, którego na-

*) Tłum wyobraża niekiedy uczciwość zbiorową, powstałą z nieuczciwych pierwiastków. W r. 1720 po przejściu gorączki spekulacyjnej, parlament angielski, którego członkowie osobiście uczestniczyli w bezwstydnym frymarku, wydał rozporządzenie, potępiające tego rodzaju spekulacje i nakazał pociągać do odpowiedzialności osobistości wpływowo, popierające tę deprawację.

stępstwem będzie zniszczenie, jeżeli się w czyn przeobrazi. Tem można objaśnić powodzenie list proskrypcyjnych w czasie zaburzeń politycznych.

Głowy lub głów — żąda tłum rozwścieczony.

Działalność publiczności jest, na szczęście, mniej jednostronna, zwraca się w kierunku przeprowadzenia reform idealnych lub urzeczywistnienia utopijnych mrzonek z równą łatwością jak i w kierunku ostracyzmu, prześladowania albo zdzierstwa. Posługując się jej ujemnymi skłonnościami, podżegacze prowadzą ją z łatwością do swoich nędznych celów. Wynaleźć lub wymyślić nowy a jakiś ważny przedmiot nienawiści dla publiczności, to jeden z niezawodnych środków otrzymania stanowiska naczelnego w dziennikarstwie. Nigdy i nigdzie obrona nie miała takiego powodzenia, jak potępienie.

Nie chciałbym kończyć pracy niniejszej na tych pesymistycznych rozmyślaniach. Pragnę wierzyć, że wielkie przeobrażenia społeczne, jakie prasie zawdzięczamy, dążą do statecznego zespołu różnorodnych żywiołów i ogólnej harmonii.

Nowe ugrupowanie społeczne, które nazywam publicznością, coraz szersze obejmujące kręgi i coraz ściślej zjednoczone, które zastępuje dawne ustroje, lub wyłania się z grup dawniejszych, nie tylko wprowadza panowanie zmiennej mody, na miejsce panującego dawniej zwyczaju, nowatorstwami różnemi mąci nieskalanłość tradycji, lecz znosi ostro zaznaczone i niewzruszone granice pomiędzy rozlicznymi odmianami zbiorowisk ludzkich i wszystkie ich nieskończone zatargi; a na ich miejsce stawia luźne i zmienne grupy, niejasno zróżniczkowane, skłonne do nieustannego odradzania się i przenikania wzajemnego.

Taki, zdaje mi się, wniosek, można wyprowadzić z całego, powyższego badania.

Dodaję jednak, że byłoby błędem przyznanie zbiorowości, choćby najbardziej uduchowionej, zasługi w pracy nad postępowaniem ludzkości. Każda inicjatywa wyłania się z myśli indywidualnej, niezależnej a silnej. Aby mózdz myśleć, trzeba oddalić się nie tylko od tłumu, jak powiedział Lamartine, ale nawet od publiczności. O tem właśnie zapominają wielcy wielbiciele mas i nie dostrzegają sprzeczności zawartej w ich apologii. Wypowiadają oni zwykle pochwały dla wspaniałych dzieł, niby to zbiorowych, anonimowych, jedynie dlatego, by wyrazić pogardę dla indywidualnego geniuszu, który nie będzie ich własnym.

Przypominamy sobie, że sławni wielbiciele mas zbiorowych gardzili jednocześnie pojedynczymi osobnikami i byli uosobieniem pychy. Po Chateaubriandzie i J. J. Rousseau, nikt tak głośno, jak Wagner, jeżeli już nie wymienimy Wiktora Hugo, nie wypowiedział zasady, „że tylko lud jest siłą twórczą”, „że jednostka odosobniona nic nie może stworzyć samodzielnie, że może sobie tylko przyswoić utwór sił zbiorowych”. Jest to jedno z tych uwielbień, skierowanych ku zbiorowości, które nie drażnią niczyjej ambicji, podobnie jak satyry nieosobiste nie obrażają nikogo, ponieważ pod przenośnią odnoszą się do wszystkich.

Niebezpieczeństwo nowoczesnej demokracji polega na tem, że myślicielowi coraz trudniej uniknąć wpływów agitacji stronnicej. Trudno nurkowi zanurzyć się pod kloszem w morzu zbyt wzburzonym.

Indywidualizmy kierownicze, wysuwane na pierwszy plan przez społeczeństwa tegoczesne, pojawiają się

coraz częściej w gronie pisarzy, którzy z tem społeczeństwem zostają w ciągłych stosunkach, a potężny wpływ, jaki wywierają, bardziej pożądanym, bez wątpienia, niż zaślepienie tłumu bezgłowego, zadaje kłam twierdzeniu o twórczości mas zbiorowych.

To jednak nie dosyć; nie dosyć jest rozpowszechniać jedynie kulturę średnią, trzeba przedewszystkiem najwyższą kulturę wznosić na coraz wyższe szczeble.

Trzeba jeszcze wraz z Summer Main'em zastanowić się nad przyszłym losem ostatnich intelektualistów, których niepożyte zasługi przechodzą niepostrzeżenie. Nie dlatego stoki górskie unikają zagłady, że górale, rozumiejąc potrzebę ochraniań tych naturalnych zbiorników wody, zamieniają je w ziemię rodzajną, zarosłą winem i lucerną; od zagłady chroni je po prostu trwałość skalistych wierzchów, spójność ich części składowych tak wielka, że rozerwanie ich dynamitem kosztowałoby zbyt drogo. Cóż ochroni od zagłady intelektualne i artystyczne wyżyny ludzkości, co je ustrzeże od demokratycznej niwelacji? Obawiam się, że to nie będzie wdzięczność za dobro, jakie światu przynieśli, słuszna ocena pożytku odkryć przez nich dokonanych.

Cóż to więc będzie?

Chciałbym wierzyć, że ochroną ich — będzie siła oporu.

Biada im, jeżeli się rozpadną!

... the ... of ...

... the ... of ...

... the ... of ...

... the ... of ...

... the ... of ...

... the ... of ...

... the ... of ...

... the ... of ...

ROZDZIAŁ II.

Opinia i rozmowa.

OPINIA.

I.

W świecie nowożytnym opinia i publiczność — to dusza i ciało; badając jedną z nich, musimy zwrócić uwagę i na drugą.

Co to jest opinia? W jaki sposób powstaje? Jakie są jej źródła rozmaite? Jak, wypowiadając się, wzrasta, i odwrotnie, wznosząc się, wypowiada, czego dowodem jest głosowanie powszechne i dziennikarstwo? Jaką jest jej płodność i doniosłość społeczna? I do jakiego ujścia dążą jej prądy wielorakie — jeżeli to ujście wogóle istnieje?

Na te pytania postaramy się odpowiedzieć w kilku słowach. Na wstępie muszę zaznaczyć, że wyraz opinia obejmuje zwykle dwa pojęcia, powikłane wprawdzie, lecz które ściślejsza analiza powinna wyodrębnić, t. j. opinię właściwą — sąd ogółu, i wogóle zbiorową — wyraz pragnień.

Przedewszystkiem, chociaż nie wyłącznie, interesuje nas tutaj opinia — jako sąd ogółu. Pomimo wielkiego znaczenia i obecnej rozlewności opinii, nie należy przeceniać jej roli. Postarajmy się określić zakres jej oddziaływania i wyłączyć z dwu innych dziedzin umysłowości społecznej, które, zasilając, jednocześnie ją otamowują i nieustannie wiodą z nią spór graniczny.

Jedna z nich to Tradycja — skoncentrowany odwar tego wszystkiego, co stanowiło opinię zmarłych pokoleń, dziedzictwo koniecznych czasem i zbawienych przesądów, często tak niewygodnych dla żyjących. Druga jest to właśnie, co pozwolę sobie nazwać zbiorowem i skróconem mianem: — Rozum.

Nazywam tak sądy indywidualne, względnie racjonalne, a często bezzasadne, pewnej grupy wybranych, która się odosabia, myśli i z ogólnego prądu wyodrębnia, aby nim zawładnąć i sterować.

Duchowieństwo dawniej, później filozofowie, uczeni, prawodawcy — sobory, akademie, sądownictwo, jednocześnie albo kolejno uosabiali ten oporny i kierowniczy rozum, tak bardzo różny tak od namiętnych uniesień tłumów, jak i od uczuć i zasad, od wieków złożony w głębi jego duszy.

Chętnie dołączyłbym do tego szeregu Parlamenti, Izby i Senaty. Czyż ich członkowie nie są wybierani właśnie dlatego, aby narodziwszy się w zupełnej niezależności, mogli służyć za hamulec opinii publicznej?

Ale rzeczywistość daleką jest od ideału.

Zanim wytworzy się opinia ogólna, i jako taka zostanie uznana, jednostki, wchodzące w skład danego

narodu, mają świadomość posiadania wspólnej tradycji i dobrowolnie ulegają postanowieniom rozumu, uważanego za wyższy.

Z tych trzech konarów umysłowości społecznej, opinia najpóźniej zaczyna się rozwijać, lecz począwszy od pewnego momentu najszybciej wzrasta, i to kosztem obu swoich poprzedników. Żadna instytucja publiczna nie oprze się jej szturmom, wobec jej pogróżek i wymagań drży i lęka się każda myśl indywidualna. Któremu ze swoich rywali opinia najwięcej szkodzi? To zależy od jej kierowników. Gdy należą do elity rozumującej, potrafią niekiedy wnieść opinię jako taran, rozbijając ją w proch szańce tradycji i rozszerzać je, niszcząc — co przedstawia zawsze pewne niebezpieczeństwo. Lecz gdy kierownikami tłumu zostają ludzie niepowołani, to łatwiej im, opierając się na tradycji, podburzyć opinię przeciwko rozumowi, niż odwrotnie; bo rozum jednak zawsze w końcu zwycięży.

Wszystko szłoby jak najlepiej, gdyby opinia ograniczała się na popularyzowaniu rozumu i starała się przeistoczyć go w tradycję. Rozum dnia dzisiejszego stawałby się opinią jutra a tradycją pozajutrze. Lecz opinia zamiast być łącznikiem pomiędzy swoimi sąsiadami, uczestniczy chętnie w ich sporach, i bądź to, upajając się modnemi w danej chwili doktrynami, niewczy pojęcia i ustawy zwyczajowe, bądź też, ulegając zwyczajowi, potępia lub tłumi usiłowania rozumnych nowatorów, albo też nakłada na nich, musowo, liberyę tradycji, kostyum faryzeizmu.

Trzy te siły różnią się nie tylko pochodzeniem, lecz i przyczynami i następstwami swemi. Wspólnie, lecz nierównomiernie i bardzo różnie wpływają na określenie wartości rzeczy; wartość ta bywa zmienną i za-

leżną od tego, czy dana rzecz jest wytworem zwyczaju, mody, czy też rozumowania.

Później przekonamy się, że jednym z największych czynników opinii jest rozmowa, a głównem jej źródłem obecnie prasa, nie licząc już rozumu i tradycyi, które zawsze współdziałają i wyciskają swoje piętno.

Czynnikiem *) tradycyi, oprócz samej opinii, jest wychowanie domowe, nauczanie zawodowe i szkolne, chociażby tylko w zakresie elementarnym. Rozum w swoich ogniskach, prawodawczych, filozoficznych, naukowych, a także i duchownych, posiada własne swoje źródło, wypływające z obserwacyi, doświadczenia, z badania, a w każdym razie z rozumowania.

Walki i przymierza tych trzech sił, ich starcia wielorakie i rozmaite stosunki, stanowią jedno z najzawilszych zagadnień historii. Integralnym i najpłodniejszym objawem życia społecznego jest właśnie ta długa praca przeciwdziałania i przyswajania, tak często krwią zroszona. Tradycya, jako zawsze narodowa, jest ściślej ujęta stałemi granicami, nieskończenie trwalsza i głębsza od lekkiej i przelotnej, jak wiatr, opinii, jak wiatr rozprężliwej i dążącej nieustannie do kosmopolityzmu, tak samo jak i rozum.

Opinia, to morze bez odplywów, podmywa nieu-

*) Wyraz czynnik jest niejasny, oznacza kanał albo źródło. Tutaj znaczy kanał, gdyż rozmowa i wychowanie tylko przekazują pojęcia, z których składa się tradycya i opinia. Źródłem opinii jest zawsze inicjatywa prywatna i wszelkiego rodzaju odkrycia.

stannie wybrzeża tradycyi, a potęga jej jest w stosunku odwrotnym do potęgi tradycyi, co nie znaczy wcale, aby obezwładniła rozum. Chociaż ten ostatni, reprezentowany w wiekach średnich przez akademię, sobory, trybunały, silniej niż obecnie mógł pokonywać opinię, lecz z drugiej strony miał mniej środków do obalania i reformowania tradycyi. Wszegmoc opinii objawia się, na nieszczęście, nietylko w stosunku do tradycyi i rozumu. Jeżeli dotąd nie wtargnęła do pracowni uczonego — jedyne go zakątka niezgwałconego dotychczas przez opinię — to zalewa sądy i parlamenty. A ten potop, którego końca nie mamy jeszcze możności określić, należy do najbardziej zatrważających zjawisk doby obecnej.

Opisawszy granice opinii, postarajmy się ją ściślej zdefiniować. Opinia jest to chwilowa, mniej lub więcej logiczna grupa sądów, odpowiadających zagadnieniom doby bieżącej, które w licznych odbitkach kursują wśród ludzi, zamieszkujących współcześnie jeden i ten sam kraj, należących do jednej i tej samej warstwy społecznej.

Warunki te są niezbędne. Koniecznem jest również, aby wszystkie te osoby miały wiadomość społeczności swoich sądów z sądami, wygłaszanymi przez innych, bo gdyby każda z nich czuła się odosobnioną pojęciowo, to nie mogłaby powstać ściślejsza spójnia umysłowa pomiędzy jednostkami podobnemi sobie — a nie mającemi świadomości tego podobieństwa. Uświadomienie wspólnoty pojęć mogą wywołać tylko objawy zewnętrzne, dlatego więc potrzeba, by za pośrednictwem słowa, pisma, czy też w prasie zostało wypowiedziane jakieś pojęcie indywidualne, odpowiadające ogólnemu nastrojowi.

W starożytności i wiekach średnich przemówienia publiczne przeobrażały jakieś mniemanie osobiste w pojęcie społeczne, obecnie czyni to prasa, lecz w każdej epoce i przede wszystkim odbywa się to za pośrednictwem rozmów prywatnych.

Mówimy zwykle: opinia — lecz zawsze, wobec każdego zagadnienia powstają jednocześnie dwie opinie. Tylko jedna z nich dość prędko zwykle tłumi drugą, bądź to wskutek szybkiego i jaskrawszego promieniowania, bądź też dlatego, że, chociaż mniej popularna, jest hałaśliwszą *).

W każdej epoce, nawet barbarzyństwa, istniała opinia, różniła się jednak wielce od tego, co dzisiaj tym wyrazem określamy. W klanach plemiennych, w osadach ludów starożytnych i w grodach średnio-wiecznych z rozmów, albo przemówień publicznych ustalało się w umysłach jakieś wspólne pojęcie; pojęcie to nie zjawiało się tam, jako kamień spadły z nieba, pochodzący ze sfer nieznanych i tem większym owiany urokiem; w każdym umyśle kojarzyło się ono z brzmieniem głosu, twarzą jakiejś znanej osobistości, od której pochodziło i która mu nadawała cechę żywotną. Dlatego więc pojęcie to łączyło tylko takich ludzi, którzy

*) Najbardziej nawet rozpowszechniona opinia nie ma manifestuje się nazewnątrż, jeżeli jest umiarkowaną, lecz manifestuje się gwałtownie opinia krańcowa, nawet niepopularna. Otóż manifestowanie się — wyrażenie jasne i zrozumiałe — gra bardzo ważną rolę w zlewaniu się i przenikaniu wzajemnem opinii grup rozmaitych i w propagandzie ideowej. Wskutek tego właśnie opinie krańcowe najwcześniej i najjaśniej zdają sobie sprawę ze swego jednoczesnego istnienia, — co w szczególniejszy sposób sprzyja ich rozpowszechnieniu.

widując się i rozmawiając codziennie ze sobą, nie mogli swej dobrej wiary nadużywać.

Dopóki więc rozmiary państw nie przekraczały wałów grodu, lub co najwyżej granic niewielkiego terytorium, opinia w ten sposób powstawała, samodzielna, potężna i silna, pomimo wpływów tradycyi i rozumu, i grała u steru rządów ludzkich rolę chórów z tragedyi greckich, rolę, którą opinia tegoczesna, pochodząca z innego zupełnie źródła, w naszych olbrzymich państwach i coraz bardziej rozwijających się federacyach, pragnie zagarnąć dla siebie.

W tym niepomierne długim przeciągu czasu, jaki dzieli te dwie epoki historyczne, znaczenie opinii przeżywało fazę zupełnego upadku, co można objaśnić tem, że była rozczłonkowaną na drobne grupy opinii lokalnych, żadnym wspólnym węzłem nie połączonych ze sobą i wzajemnie nic o sobie nie wiedzących. W państwach feudalnych, takich jak była Anglia lub Francya w wiekach średnich, każde miasto, każda osada prawie miała swoje zatargi wewnętrzne, swoją odrębną politykę, a bieg myśli, a raczej wir chaotycznych pojęć, kłębiących się w każdym odosobnionym ośrodku, dokoła jednego punktu, był zarówno odmiennym jak i obcym i obojętnym jeden dla drugiego — przynajmniej w zwykłych warunkach.

W tych rozmaitych miejscowościach polityka lokalna wyłącznie absorbowwała umysły, w daleko słabszym stopniu interesowano się polityką narodową, i to głównie w celu wyrobienia sobie pojęcia o sposobie rozstrzygania danej kwestyi przez mieszkańców miast sąsiednich.

Nie było więc jednej „opinii”, lecz tysiące opinii poszczególnych, nie mających żadnego ze sobą związku.

Związek ten mogły wytworzyć najpierw książki, a potem o wiele ściślejszy — dzienniki. Prasa peryodyczna umożliwiła tym pierwotnym grupom jednomyślnych jednostek tworzenie skupień drugiego stopnia, i to stopnia daleko wyższego, a poszczególni członkowie tych skupień stanowią ścisły zespół, chociaż się nie widzą, ani znają wzajemnie. To było przyczyną rozmaitych zmian, a między innymi i tego, że w grupach pierwotnych głosy były raczej *p o n d e r a n t u o* niż *n u m e r a n t u o*, podczas gdy w grupach wtórnych, daleko obszerniejszych, złożonych z ludzi, którzy nie spotykają się ze sobą, a łączą zaocznie, głosy mogą być tylko liczone, a nie brane na wagę. W ten sposób prasa bezwiednie pracowała nad wzmoczeniem potęgi liczby, a zmniejszeniem znaczenia siły charakteru, jeżeli nie inteligencji. Za jednym zamachem zniweczyła władzę absolutną sił kierowniczych, których rozwojowi tak bardzo sprzyjało lokalne rozczłonkowanie opinii.

Władza ta miała wówczas rację bytu i była zupełnie usprawiedliwioną. Bo czemuż jest kraj, którego rozmaite okolice, miasta, wsie, osady nie są połączone zbiorową świadomością wspólnoty poglądów? Czy to jest naród? Czy też będzie to tylko nazwa polityczna lub geograficzna? Tak, to jest naród, ale tylko w tem znaczeniu, jak podporządkowanie się polityczne różnorodnych odłamów danego państwa jednemu naczelnemu dowódcy będzie początkiem budzenia się uczucia narodowego. Naprzykład we Francyi za czasów Filipa Pięknego nie było wcale ducha publicznego, z wyjątkiem kilku bardzo rzadkich wypadków, gdy wspólne niebezpieczeństwo we wszystkich miastach i departamentach wysuwało na pierwszy plan, wynosiło ponad wszystko inne jeden tylko przedmiot ogólnego niepokoju. Były tam tylko poszczególne objawy ducha

lokalnego, wyodrębnione, uległe jakiejś swojej idée fixe lub namiętności. Lecz król za pośrednictwem swoich urzędników miał pojęcie o tych różnorodnych stanach duszy swoich poddanych, a łącząc je w sobie, jednoczył zarazem w świadomość zbiorową, którą się posługiwał dla wykonania swoich zamiarów. Zjednoczenie to było bardzo luźne, bardzo niedostateczne, tylko samemu królowi dające słabe pojęcie o tem, co było ogólnego we wszystkich sprawach lokalnych.

Jego ja było jedynem polem przenikania się wzajemnego. Gdy zostały uorganizowane Stany jeneralne, zrobiono jeden krok naprzód w kierunku unarodowienia opinii departamentów i poszczególnych terytoryów. Opinie te tkwiły w umysłach deputowanych, tam się stykały, tam poznawały swoje podobieństwa i różnice, a cały kraj z oczyma zwróconemi na swoich przedstawicieli, chociaż pracami ich interesował się nieskończenie mniej, niż obecnie, był wówczas wyjątkowo narodem uświadomionym. Świadomość ta chwilowa i wyjątkowa była bardzo niedostateczną, bardzo mglistą i chwiejną. Posiedzenia Stanów były publiczne, lecz mowy nie mogły być ogłaszane, ponieważ nie było dzienników, których nawet listy nie mogły zastąpić, gdyż nie było komunikacyi pocztowej. Otrzymywano więc wiadomości mniej lub więcej przekształcone, po upływie tygodni, a nawet miesięcy, podawane z ust do ust, przynoszone przez podróżnych konnych i pieszych, klechów wędrownych lub kupców: w ten sposób dowiadzano się, że Stany się zgromadziły, że obradują nad tą lub ową kwestyą — i oto wszystko. Członkowie tych zgromadzeń, w czasie swoich krótkich i bardzo rzadkich posiedzeń, tworzyli też grupę lokalną, intensywne środowisko opinii lokalnych, powstałych wskutek oddziaływania człowieka na człowieka, stosunków oso-

bistych i wpływów wzajemnych. Ta wyższa grupa lokalna, chwilowa, wybieralna, łączyła w jedno ogniwo mniejsze skupienia lokalne, dziedziczne, złożone z krewnych i przyjaciół, tradycyjnie istniejące w miasteczkach i departamentach.

II.

Rozwój poczt ożywił korespondencję oficjalną początkowo, a następnie prywatną; budowa dróg bitych ułatwiła możność zawiązywania stosunków osobistych; ustanowienie stałej armii dało sposobność zapoznania się i zbratania żołnierzom, pochodzącym z rozmaitych prowincyi; nakoniec rozwój życia dworskiego powołał do stolicy wyborową szlachtę ze wszystkich zakątków kraju — wszystko to razem stopniowo oddziaływało na rozwój życia ducha publicznego. Lecz doprowadzenie tego dzieła do najwyższego, dotąd, stopnia rozwoju, przypadło w udziale maszynie drukarskiej. Gdy prasa raz doszła do fazy dziennika, zrobiła narodowem, europejskiem, wszechświatowem wszystko, co było dotąd lokalnem, wszystko, co bez względu na doniosłość swoją byłoby zostało nieznane poza obrębem ciasnych granic swego promieniowania.

Spełniono np. gdzieś „straszną zbrodnię”, prasa natychmiast chwyta dany fakt w swoje obroty, i przez pewien przeciąg czasu publiczność Francyi, Europy, całego świata, zajęta jest tylko Gabryelą Bombard, Pranzinim lub Panamą. Jednym z pierwszych procesów, który dzięki prasie nabrał znaczenia narodowego, była sprawa Lafarge'a z powodu samobójstwa popełnionego w głębi pałacu Limousin. Któżby wiedział o tej sprawie przed 150 laty, poza granicami Limou-

sin? Jeżeli rozprawiano o sprawie Calasa i innych tego rodzaju, to tylko z powodu olbrzymiej popularności Voltaire'a i dzięki temu, że te sławne sprawy roznamiętniały ogół wskutek innych przyczyn, nie mających związku z sądownictwem. Zainteresowanie się temi sprawami nie miało charakteru lokalnego, przeciwnie działały tutaj pobudki najbardziej ogólne, jak tylko być może, ponieważ słusznie czy niesłusznie wykazywano pomyłki sądowe, o które obwiniano wszystkie nasze instytucje i całą magistraturę. To samo można powiedzieć o rozruchach narodowych, wywołanych w innej epoce sprawą Templaryuszów. Do Rewolucyi francuskiej nie było ani jednego wykroczenia przeciwko jakiemukolwiek paragrafowi kodeksu, któryby nie roznamiętniał całej Francyi, któryby nie miał charakteru politycznego i nie był wyzyskany przez sekciarzy.

Kronika sądowa, taka jaką my znamy, ten, na nie-szczęście, tak ważny element świadomości zbiorowej w chwili obecnej i opinii, tegoczesna kronika sądowa, nie alarmując nikogo, w ciągu całych tygodni przykuwa do dramatu kryminalnego wzrok rozproszonych po całym świecie, a niezliczonych widzów — olbrzymie i niewidzialne Coliseum — widzów powodowanych jedynie bezinteresowną niedyskrecją lub ciekawością teatralną. To krwawe widowisko, najbardziej pożądane i najbardziej ze wszystkich roznamiętniające ludy społeczne, było nieznaną naszym przodkom.

Postarajmy się o ścisłość. W olbrzymiej masie społeczności, podzielonej na narodowości, z podziałami na prowincye, obwody i miasta, zawsze, nawet i przed powstaniem prasy, istniała opinia międzynarodowa i od czasu do czasu dawała oznaki życia; lecz poza nią stały opinie narodowe, przelotne, manifestujące się już

coraz częściej, a dalej opinie miejscowe, lokalne, prawie stale panujące.

Z takich pierwiastków składał się duch publiczny. Tylko stosunek tych rozmaitych części składowych pod względem znaczenia i doniosłości ulegał znacznym zmianom i łatwo możemy określić w jakim kierunku. Im dalej cofamy się w przeszłość, tem większego znaczenia nabiera opinia lokalna — unarodowić a nawet powoli kosmopolityzować ducha publicznego, było zadaniem dziennikarstwa.

Dziennikarstwo jest pompą ssąco-tłoczącą informacyi różnorodnych; otrzymane co rano ze wszystkich stron świata, tego samego dnia rozchodzą się one we wszystkich kierunkach, po całej kuli ziemskiej, jeżeli dziennikarz uzna je za godne rozpowszechnienia, biorąc pod uwagę cel, do którego dąży, i partyę, jaką reprezentuje. Te jego informacye stają się powoli potężnymi impulsami. Dzienniki zaczęły swoją robotę od tego, że początkowo wypowiadały opinie wyłącznie lokalne, opinie grup uprzywilejowanych, dworu, parlamentu, stolicy, powtarzając ich plotki, dyskusye, mowy — a skończyły na dowolnem kierowaniu i urabianiu opinii, narzucając tematy rozprawom i gawędom codziennym.

III.

Trudno to, a nawet niepodobna wyobrazić sobie, do jakiego stopnia dziennik przeobraził, wzbogacił, a zarazem zrównał w przestrzeni a zróżniczkował w czasie rozmowy prywatne nawet takich ludzi, którzy sami nie czytają dzienników, tylko, gawędząc z tymi, którzy

je czytają, są zmuszeni śledzić bieg ich myśli z prasy zapożyczonych.

Jedno pióro poruszy miliony języków. Parlamenty „przed prasą” różnią się tak zasadniczo od parlamentów „po prasie”, że, oprócz nazwy, nie wspólnego ze sobą nie mają. Różnią się tak pod względem swego pochodzenia jak i charakteru mandatów, działalności, obszaru i potęgi swego oddziaływania. Przed pojawieniem się prasy deputowani Kortezów, sejmów, Stanów generalnych nie mogli wyrażać opinii ogólnej, nie istniejącej jeszcze podówczas, wypowiadali tylko opinie lokalne albo tradycje narodowe. Obrady tych zgromadzeń ograniczyły się na prostem zestawieniu różnorodnych poglądów na poszczególne zagadnienia, nie mające żadnego ze sobą związku, i tutaj po raz pierwszy dowiadywano się o niepodobieństwie lub możliwości pogodzenia tych poglądów. W ten sposób opinie lokalne dochodziły do świadomości wszystkich zgromadzonych, lecz uświadomienie to było również lokalne, w ciasnych ramach zamknięte i promieniowało bardziej intensywnie tylko w tem mieście, gdzie zgromadzenie obradowało. Gdy więc miastem tem była taka stolica, jak Londyn albo Paryż, to rada miejska próbowała rywalizować z narodową Izbą deputowanych, czem właśnie można objaśnić nadmierne pretensje komuny paryskiej podczas Rewolucyi francuskiej, gdy napadała lub chciała opanować Konstytuante, Zgromadzenie narodowe, Konwencyę. Przyczyną tego była bezwładność prasy, pozbawionej wówczas olbrzymich skrzydeł, jakie jej później wyrosły, dzięki kolejom żelaznym i telegrafom; wtedy mogła ułatwić szybkie porozumiewanie się parlamentu tylko z opinią miasta Paryża. Obecnie dzięki rozwojowi prasy, każdy parlament europejski pozostaje w stałym i doraźnym zetknięciu

nietylko z opinią jednego miasta ale i z opinią całego kraju, którego jest jednym z główniejszych objawów i podniet działania i oddziaływania, jakby, że tak powiem, jego zwierciadłem wklęsłym i zwierciadłem wypukłym. Zamiast więc zestawić tylko odmienne, lokalne duchy, zlewa w jedną całość różnolite objawy jednego i tego samego ducha narodowego. Dawniejsi deputowani różnili się też pomiędzy sobą z powodu właściwości szczególniejszego sposobu ich wybierania, opartego wyłącznie na zasadzie nierówności i odrębności rozmaitych jednostek na wyłącznie osobistym charakterze prawa wyborczego. Potęga liczby jeszcze się nie urodziła i nie była uznana za legalną; i dla tej to przyczyny, w obradach zgromadzeń ówczesnych prosta większość głosów nikogo prawnie nie obowiązywała.

W państwach najbardziej „zacończonych” jednomyślność była obowiązującą, i wola wszystkich deputowanych — minus jeden była trzymana w szachu przez opozycję jedyne go malkontenta. Tak więc ani przy wyborach reprezentantów, ani też w czasie spełniania ich czynności prawo większości nie mogło być, i nie było ogólnie przyjęte, aż do czasów rozwoju prasy i opinii narodowej. Po jej rozkwicie żadne inne prawo nie byłoby możliwe w zastosowaniu. Głosowanie powszechne pomimo niebezpieczeństwa i różnych niedorzeczności, jakie za sobą pociąga, coraz szersze obejmuje kręgi, posuwa się wciąż naprzód krok za krokiem w nadziei, że samo zrozumie konieczność przeprowadzenia pożądanych reform; nie zważając na zarzuty, zupełnie zresztą usprawiedliwione, ludzie uznali za słuszne, że wszyscy muszą chylić głowę wobec uchwały, przyjętej większością chociażby jednego głosu. Wogóle głosowanie powszechne i wszechmoc większości w parlamentach stały się możliwymi tylko dzięki stałej i zwartej działalności

prasy, tego warunku sine qua non wielkiej, niwelującej wszystko demokracji. Nie mam na myśli tutaj małej demokracji, ograniczonej ścianami miasta greckiego lub kantonu szwajcarskiego. Różnice, powyżej zaznaczone, objaśniają również absolutną władzę parlamentów „po prasie”, o co parlamenty „przed prasą” nie myślały się ubiegać. Nie mogły one być równe królowi, a potem nawet stać od niego wyżej wówczas, gdy tak samo jak król, a później w daleko wyższym nawet stopniu, uosabiały świadomość narodową i były wyrazem opinii i woli zbiorowej, które, że tak powiem, uczestniczyły w ich obradach i tak ścisły zespół z nimi stanowiły, że monarcha musiał zrezygnować z roli jedyne go i najdoskonalszego ich przedstawiciela. Dopóki te warunki nie były dopełnione — a nie były w epoce wielkich mocarstw aż do pojawienia się prasy — zgromadzenia narodowe, nawet podczas rewolucyi, nie mogły wzbudzić wiary i same uwierzyć nie mogły, że rozporządzają najwyższą władzą, lecz korzą się wobec zwyciężonego i rozbrojonego przez nich króla, wchodzą w układy pokojowe, ubiegają się o zaszczyt otrzymania od jakiegoś Jana Bez Ziemi dyplomu na przywilej, uznając tem samem, już nie na zasadzie przesądu, lecz rozumu, wyrozumowanej, głębokiej, logicznej społecznej i słuszności jego prerogatywy.

Przed ukazaniem się prasy monarchie mogły i powinny były być mniej lub więcej absolutne, nietykalne i święte, ponieważ reprezentowały narodową jedność, lecz teraz nie mogą takimi pozostać, ponieważ jednolitość narodowa wytwarza się bez udziału władzy monarchicznej i daleko silniej się zaznacza, niż za jej pośrednictwem. Monarchie absolutne mogą nawet istnieć, ale są tak różne od dawnych monarchii, jak współczesne parlamenty od parlamentów „przed prasą”. Naj-

większą zasługą dawniejszego monarchy było to właśnie, że on to ustanowił jedność i świadomość narodową; monarcha tegoczesny ma rację bytu tylko dlatego, że wyraża tę jedność ustanowioną poza nim, wytworzoną przy pomocy opinii narodowej, uświadomionej i jednolitej, do której się przystosowuje, albo też której ulega, chociaż się przed nią nie korzy.

Aby skończyć ze społeczną rolą prasy, musimy jeszcze zwrócić uwagę, że tylko wielkiemu rozwojowi prasy peryodycznej zawdzięczamy wyraźniejsze i szersze rozgraniczenie, nowe, silniejsze spotęgowanie uczucia narodowości, co pod względem politycznym wyróżnia naszą epokę od innych. Czyż to nie prasa wzmogła nacjonalizm współczesny, tak samo jak i nasz kosmopolityzm, dwa przeciwieństwa, które jednak mogłyby dopełniać się wzajemnie? Czyż to nie tej siły potężnej a płodnej jest zasługą, że, zamiast upadającej lojalności, wzrastające wciąż uczucia narodowościowe stały się nową formą patryotyzmu? Dziwnem wydaje się zjawisko, że w miarę jak państwa zlewają się ze sobą, jak coraz bardziej naśladują się wzajemnie, asymilują i jednoczą moralnie, pogłębia się rozdział pomiędzy narodowościami, a ich antagonizmy coraz trudniej dają się pogodzić. Trudno zrozumieć, na pierwszy rzut oka, ten kontrast wieku XIX, nacjonalistycznego, z kosmopolityzmem zeszłego stulecia. Lecz ten wynik, na pozór paradoksalny, jest najbardziej na świecie logicznym. Podczas gdy przyspieszała się i wzmagala wymiana towarów, pojęć, przykładów rozmaitych pomiędzy sąsiadującymi ze sobą lub od siebie oddalonymi narodami, daleko szybciej jeszcze, dzięki pismom peryodycznym, odbywała się wymiana myśli pomiędzy jednostkami każdego narodu, mówiącemi tym samym językiem. O ile więc zmniejszyły się absolutne róż-

nice narodowościowe, o tyle wznagało się w nich świadome poczucie swej odrębności. Widzimy zresztą, że obecnie geograficzne granice narodowości coraz częściej zlewają się z granicami języków panujących.

W niektórych państwach walka o język stała się walką narodową. A to dlatego, że prasa peryodyczna rozbudziła uczucia narodowe, a intensywne promieniowanie dziennika nie przekracza granic narzeczając, jakiem się posługują. Wpływ książki, chociaż poprzedził wpływ dziennika i chociaż był tak poważny w XVIII i XVII stuleciu, nie mógł takich następstw wywołać, bo książki u wszystkich tych, którzy czytali ją w tym samym języku, budziła tylko świadomość ich jednolitości filozoficznej, ale nie omawiała kwestyi aktualnych i nie wzniewała w nich współcześnie uniesień namiętnych. Literatura świadczy o istnieniu narodu, lecz tylko dzienniki budzą życie narodowe, a ich codzienne, wspaniałe fluktuacje wprawiają w ruch siły zbiorowe i pragnienia. Książka, zamiast interesować konkretną aktualnością swoich informacji, stara się wzbudzić zainteresowanie pojęciami ogólnemi, natury abstrakcyjnej, jakie wygłasza. Nadaje się więc lepiej do podniecania prądów humanitarnych, tak jak to uczyniła nasza literatura XVIII stulecia, aniżeli do budzenia prądu narodowego, czy międzynarodowego. Bo narodowy i humanitarny — to dwie rzeczy różne. Federacya europejska, o której tylko nasi międzynarodowcy mogli mieć jasne pojęcie, nie ma nic wspólnego z „ludzkością” ubóstwianą przez encyklopedystów, których pojęcia w tym kierunku August Comte zamienił w dogmat miary. A więc mamy prawo przypuszczać, że kosmopolityczny i abstrakcyjny charakter ducha publicznego w chwili wybuchu rewolucyi

1789 r. pozostaje w ścisłym związku z przewagą książki nad dziennikiem w kształceniu opinii publicznej.

II.

ROZMOWA.

I.

Pobieżnym zaledwie rzutem oka przebiegliśmy interesujące nas w tej chwili zagadnienie, aby dać pojęcie, jak bardzo jest zawile. Określiwszy, co to jest opinia, zatrzymaliśmy się dłużej nad jej stosunkiem do prasy. Lecz prasa jest tylko jednym z czynników opinii i to jednym z najnowszych. Jeżeli od niej rozpoczęliśmy nasze badania, to tylko dlatego, że jest to czynnik najbardziej widoczny. Należy jeszcze zbadać — daleko obszerniej, gdyż jest to teren dotąd niewyzyskany — inny czynnik opinii, najbardziej stały i najogólniejszy, małe niewidzialne źródło opinii, które płynie w każdej epoce i na każdym miejscu — rozmowę.

Przedewszystkiem rozmowa grona wybranych — „elity”.

W jednym z listów Diderot'a do Hecker'a z r. 1775 znajduję następujące, bardzo właściwe określenie:

„Opinia, ten motor o znanej nam potędze — w dobrym i złym kierunku, jest niczem innym w swoim zarodku, jak tylko oddziaływaniem pewnej, niewielkiej liczby osób, które rozmyślają, mówią i w rozmaitych kołach społecznych tworzą środowiska oświaty; błędy i prawdy idące z tego ośrodka ogarniają stopniowo coraz szersze kręgi, przedostając się do naj-

„dalszych zakątków, i tam ustalają się jako artykuły „wiary”.

Rozmowę nazywam każdy dyalog prowadzony bez określonego celu, gdy mówi się przedewszystkiem dlatego, aby mówić, dla przyjemności, zabawy, przez grzeszność.

Określenie to wyłącza całkowicie: rozprawy sądowe, narady dyplomatyczne, handlowe, dostojników kościoła — a nawet tak często grzeszące zbytęzną gadaniną kongresy naukowe. Nie wyłącza jednak flirtu światowego, ani gruchań miłosnych, a chociaż w nich cel jasno prześwieca, nie przeszkadza to bynajmniej, by same przez się miłemi były. Obejmuje nawet rozmowy barbarzyńców i dzikich, jeżeli te przechodzą granicę koniecznej potrzeby.

Gdyby mnie interesowała tylko rozmowa ugrzeszniona, cywilizowana, uprawiana jako pewien rodzaj sztuki, to, szukając jej początków, nie cofnąłbym się dalej, przynajmniej od czasu starożytności klasycznej, jak tylko do wieku XV we Włoszech, XVI i XVII we Francyi i w Anglii, a XVIII w Niemczech.

Lecz zanim rozwinął się ten estetyczny kwiat cywilizacji, o wiele wcześniej ukazały się jego pączki na szczepach językowych. Chociaż mniej płodne w bezpośrednie następstwa, niż rozmowy grup wybranych, jednak — proste gawędy ludów pierwotnych nie są pozbawione wielkiej doniosłości społecznej.

Zazwyczaj tylko w pojedynku człowiek obserwuje drugiego z równem natężeniem uwagi, jak wtedy, gdy z nim rozmawia — a co właściwie jest najważniejszym, najtrwalszym następstwem rozmowy.

Jest to najwyższy szczyt samorzutnej uwa-

gi*) w stosunkach ludzkich, za jej pośrednictwem ludzie przenikać się mogą wzajemnie nieskończenie głębiej, niż w innych warunkach. Rozmowa zmusza do przestawania ze sobą i wywołuje wzajemne, zarówno niepokonane, jak bezwiedne oddziaływanie i—z tej to przyczyny jest najpotężniejszym czynnikiem w propagowaniu uczuć, pojęć, sposobów działania.

Porywająca mowa, przyjęta oklaskiem, nie sugeruje do takiego stopnia, jak rozmowa, bo zbyt jawnie cel swój wyraża. Osoby rozmawiające działają**) na siebie bezpośrednio nie tylko mową lecz dźwiękiem głosu, spojrzeniem, wyrazem twarzy, magnetyzmem gestów. Śluszenie też powiadamy, że „bon causeur” jest czarodziejem w magicznym znaczeniu tego wyrazu.

Rozmowy przez telefon, pozbawione tych pierwiastków, są nudne i bezbarwne, jeżeli nie mają charakteru utylitarnego.

Naszkiecujmy w kilku słowach psychologię, a raczej, że tak powiem, socyologię rozmowy. Jakie są jej odmiany? Jakie fazy, koleje, historia i ewolucya?

*) Ob. prace Ribot'a o „uwadze samorzutnej“ (l'attention spontanée), odznaczające się jasnością i powagą wykładu.

**) Ludzie despotyczni o tem dobrze wiedzą, pilnie zapobiegają porozumiewaniu się swoich podwładnych i przeszkadzają im rozmawiać ze sobą. Arbitralne gospodynie domu niechętnie pozwalają swoim służącym na gawędy z obcą służbą, bo wiedzą, że to najlepszy sposób „zawrócenia głowy“.—Za czasów Katona Starszego, damy rzymskie zgromadzały się dla dysputy, a surowy cenzor złem okiem patrzył na te małe kółeczka niewieście, zaczątki salonów feministycznych, — i w ten sposób radzi swemu rządcy, jak ma postępować z żoną: „Niech się ciebie boi, niech nie ma wielkiego zamilowania do zbytku, niech jak najrządziej widuje swoje sąsiadki i inne kobiety“.

Jakie przyczyny i wyniki? Jaki ma związek ze spokojem publicznym, miłością, przeobrażeniem języka, obyczajów, literatury? Każde z tych zagadnień wymagałoby całego tomu odpowiedzi; nie możemy marzyć o wyczerpaniu tak obszernego przedmiotu..

Rozmowy bardzo się różnią, zależnie od usposobienia uczestników, ich stopnia rozwoju umysłowego, miejsca zamieszkania, ich zwyczajów zawodowych, wyznania. Różnią się tak przedmiotowo, jak i pod względem tonu, etykiety, żywości wymiany zdań, długości trwania. Mierzono kiedyś przeciętną szybkość chodu piechurów w rozmaitych stolicach świata, a dane statystyczne wykazały bardzo różne lecz stałe cyfry dla każdego miasta poszczególnie. Jestem przekonany, że gdyby zaszła potrzeba mierzenia szybkości mowy mieszkańców miast rozmaitych, znalazłyby się znaczne różnice nie tylko pomiędzy miastami, lecz także pomiędzy jedną płcią a drugą.

Zdaje się, że w miarę wzrostu cywilizacji ludzie prędzej chodzą i mówią. W swojej „Podróży do Japonii” p. Bellesort zaznacza powolność rozmów Japończyków, kiwanie głową, nieruchomość ich ciał, okalających piecyk.

Wszyscy podróżnicy zauważyli również powolność mowy Arabów i innych ludów pierwotnych. Czy w przyszłości ludzie będą mówili prędko, czy powoli? Prawdopodobnie prędko; należałoby jednak to zagadnienie opracować ze ścisłością matematyczną i utworzyć coś w rodzaju psycho-fizyki społecznej. W tej chwili jednak nie mamy odpowiednich materiałów do takiej pracy.

Innym tonem i w innym tempie toczy się rozmowa pomiędzy podwładnym i przełożonym, niż równymi

sobie; — pomiędzy spokrewnionymi, niż obcymi; pomiędzy osobami jednej płci, niż mężczyzną a kobietą.

Rozmowy w małych miasteczkach, osób połączonych węzłami przyjaźni, są i muszą być różne od rozmów w wielkich miastach pomiędzy ludźmi wykształconymi, którzy się wzajemnie mało znają. Jak jedni tak i drudzy rozmawiają o kwestyach najlepiej sobie znanych i najbardziej ideowo wspólnych. To, co jest wspólnego pod tym względem pomiędzy ostatnimi, będzie wspólne i tamtym, a ponieważ mieszkańcy dużego miasta nie znają się osobiście z całą masą innych ludzi, stąd pochodzi ich skłonność do rozmawiania o przedmiotach ogólnych i pojęciach ogólnego znaczenia.

Przeciwnie zaś dzieje się wśród mieszkańców miast małych. Najlepiej znane są dla nich i najbardziej wspólne wyobrażenia o życiu i charakterze znajomych osób i dlatego tak często powstają tam plotki i komeraże. Jeżeli mniej obmawiają bardziej oświecone koła w stolicy, to nie dlatego, aby tu złość lub złośliwość były mniejsze, a tylko poprostu dlatego, że nie mają na razie odpowiedniego materiału, a jeżeli takowy się znajdzie, to po większej części odnosi się do znanych działaczy politycznych lub znakomitości teatralnych. Takie plotki publiczne mają tylko tę wyższość nad prywatnymi, że na nieszczęście, interesują większą liczbę osób.

Pominąwszy inne, podrzędne znaczenia, musimy zaznaczyć różnice pomiędzy rozmową-utarczką a rozmową-wymianą myśli, dyskusją a wzajemną informacją. Nie ulega wątpliwości, jak to później zobaczymy, że druga jest następstwem pierwszej. Podobnie jak w życiu jednostka, skłonna do kłótni i starć w młodo-

ści, unika sprzeczek a poszukuje myśli w miarę posuwania się w latach.

Odróżnijmy też rozmowy urzędowe, określone etykieta, rytualne od rozmów towarzyskich. Te ostatnie mają miejsce zwykle pomiędzy równymi sobie, a ta równość o tyle sprzyja ich rozwojowi, o ile ogranicza zakres rozmowy urzędowej. Nic zabawniejszego nad wizyty obowiązkowe składane i oddawane w pewnych stałych okresach czasu, nakazane urzędnikom przez rozporządzenia władzy wyższej a przez konwenanse osobom prywatnym, podczas których w ciągu całej, nieraz, godziny siłą się ludzie na rozmowę o niczem, mówią to, czego nigdy nie myślą, i pilnie baczą, by nie powiedzieć tego, o czem myślą. Powszechnie dobrowolne nakładanie na siebie takich więzów można zrozumieć tylko wtedy, jeżeli sięgniemy aż do ich początków.

Pierwsze wizyty, składane zwierzchnikom i szefom przez podwładnych, suzerenom przez wasali, miały na celu przynoszenie podarunków; początkowo dorywcze i nieregularne, weszły potem w zwyczaj i stały się peryodyczne, jak to wykazał Herbert Spencer. To naturalnie dawało sposobność do krótszej lub dłuższej rozmowy, polegającej na przesadnych komplementach z jednej strony i protekeyonalnych podziękowaniach z drugiej*).

Tutaj rozmowa jest tylko akcesoryum podarunku

*) Zdaje się prawdopodobnem, że wizyta była tylko koniecznem następstwem zwyczaju składania darów i przetrwała do dnia dzisiejszego, chociaż jest już przeżytkiem. Pozostały jednak pewne zabytki w naszych zwyczajach obdarowywania znajomych, przy składaniu im wizyty, np. na wsi dzieci gospodarzy — lako-
ciami i cukierkami. Komplimenty musiały być uzupełnieniem wizyty i podarunku, a później stawały się wzajemnymi i przeobra-
ziły w rozmowę.

i w ten sposób pojmują ją jeszcze wieśniacy na głębokiej prowincyi w stosunku do osób z wyższej klasy.

Powoli te dwa archaiczne pierwiastki wizyt się rozdzieliły, dary zamieniły się w podatki, a rozmowa, rozwijając się niezależnie, zachowała pewne cechy dawniejszej etykiety, nawet pomiędzy równymi. Stąd właśnie pochodzą te formy i formułki sakramentalne na początku i przy końcu każdej rozmowy.

Zawsze niezależnie od charakteru rozmowy w jednakowy sposób objawiamy żywe zainteresowanie się osobą interlokutora, lub wyrażamy pragnienie ponownego spotkania. Te formy i formułki, chociaż zaczynają się skracać coraz bardziej, zostaną jednak zawsze stałymi ramami rozmowy i nadają jej cechę instytucyi społecznej. Pobudką do rozmów urzędowych musiała być także nuda straszliwa, doznawana w samotności przez ludzi pierwotnych, i wogóle przez wszystkich analfabetów, w chwilach wolnych od pracy. Wtedy podwładny bez nakazu i podarunku szedł do zwierzchnika, dotrzymywał mu towarzystwa, zabawiając rozmową.

Rytualny nastrój rozmów obowiązkowych w ten lub inny sposób łatwo sobie objaśnić.

Przyczyną rozmów dowolnych jest towarzyskość natury ludzkiej, co jak źródło tryska swobodną gawędą w zetknięciu się równych i kolegów.

II.

Potrąciwszy o ewolucję rozmowy, czyż nie należałoby głębiej szukać jej pra-początku?

Bez wątpienia. Nie mam jednak zamiaru cofać się aż do społeczeństw zwierzęcych, do świergotu wró-

bli na drzewach, lub hałaśliwego odzewu kruków w powietrzu.

Można śmiało twierdzić, że począwszy od najdawniejszych prób porozumiewania się gestami i mową członkowaną, ludzie lubili mówić, aby mówić — czyli rozmawiać.

Chcąc zrozumieć powstanie mowy, musimy przypuścić, że była pierwszym nabytkiem estetycznym człowieka, pierwszym na większą skalę zastosowaniem praktycznym jego geniuszu wynalazczego, że była kochaną i uwielbianą dla siebie samej, jako przedmiot sztuki lub zabawka, daleko więcej, niż narzędzie.

Czyż mowa nie powstała ze śpiewu ilustrowanego tańcem, w ten sposób, jak później pismo powstało z rysunku? Zdaje się, że ludzie pierwotni, zanim zaczęli do siebie mówić w chwilach wolnych od pracy, zaczęli śpiewać razem, lub do siebie nawzajem. Przeżytki takich rozmów muzycznych można odnaleźć w śpiewaniu naprzemian pasterzy sielankowych, a także w zwyczajach Eskimosów, którzy śpiewają do osób, zasługujących w ich mniemaniu na szyderstwa.

Te ich pieśni złośliwe, wykonywane kolejno przez uczestników zgromadzenia, ten bezkrwawy i przewlekły pojedynek gra u nich rolę naszych ożywionych dyskusyi.

Jeszcze jedno przypuszczenie wydaje się tutaj prawdopodobne. Powróćmy do poprzedniego porównania. W ciągu długiego czasu, zanim pismo można było zastosować do użytku prywatnego, korespondencyi krewnych i przyjaciół, słowem do gawęd towarzyskich, nadawała się ona tylko do napisów grobowych: religijnych lub królewskich, notowania wypadków ważniejszych lub świętych przykazań. Z tych wysokości, po rozmaitych przeobrażeniach i popularyzowaniu w cią-

gu wielu stuleci, sztuka pisana zesłała na poziom ogólnego rozpowszechniania, że okazała się potrzeba ustanowienia biur pocztowych dla rozsyłania listów.

Tak samo było z mową. Nim zaczęła nadawać się do rozmowy, służyła tylko do wydawania rozkazów, lub napomnień dowódców, a następnie do wygłaszania sentencji poetów-moralistów. Słowem była najprzód z konieczności monologiem. Dyalog powstał później na zasadzie prawa, że to, co jednostronne, poprzedza zawsze to, co wzajemne.

Zastosowanie tego prawa do przedmiotu niniejszego pozwala na kilka objaśnień, jednakowo uzasadnionych.

Prawdopodobnie w pierwszych momentach tworzenia się mowy, w rodzinie lub hordzie, gdzie pierwsza gwara powstała, tylko jednostki lepiej obdarzone od natury posiadały zdolność mówienia, inni słuchali, mogli nawet mowę rozumieć, ale nie mogli jej naśladować.

Ten specjalny dar dopomagał do wywyższania się jednych nad drugimi. Stąd można wnosić, że monolog ojca, mówiącego do swoich dzieci, pana do niewolników, dowódcy do wojska, poprzedził dyalog niewolników, dzieci i żołnierzy pomiędzy sobą lub ze swoim zwierzchnikiem, czyli że podwładny wpieryw zwrócił się do swego pana ze słowami hołdu, zanim tenże raczył mu odpowiadać.

Nie zgadzając się z dowodzeniem Spencer'a, co do genezy pochlebstwa, które według niego powstało z despotyzmu wojskowego, musimy przyznać, że pochlebstwo było stosunkiem jednostronnym, a stopniowo, w miarę zacierania się różnic społecznych, przybierało charakter wzajemności i przeobraziło się w rozmowę — obowiązkową.

Modlitwa do bogów, jak wyrazy hołdu do zwierchników, była monologiem rytualnym, bo monolog jest właściwą mową człowieka i pod postacią psalmu, albo ody, liryzm wszystkich epok wyobraża pierwszą fazę poezji religijnej lub świeckiej. Widzimy, że modlitwa w dalszym swoim rozwoju przyjmuje formę dyalogu, jak tego mamy dowód we Mszy.

Wiadomo również, że pieśni, śpiewane na cześć Bachusa, były zaczątkiem tragedji greckiej. W rozwoju dramatu mamy wiele stopni przeobrażeń monologu w dyalog. Tragedya grecka była od początku i pozostała do końca obrządkiem religijnym i jak wszystkie obrządki tego rodzaju, które w religiach ludów cywilizowanych doszły do najwyższego stopnia rozwoju, składała się z monologów i dyalogów — modlitwy i rozmowy.

Lecz potrzeba rozmawiania coraz więcej przeważa nad potrzebą modlitwy. Tematem rozmów bywa zawsze to, czego dane osoby nauczyły się od księży lub profesorów, rodziców lub opiekunów, mówców albo dziennikarzy, a zatem monologi, wygłaszane przez kierowników, zasilają dyalogi pomiędzy równymi. Dodajmy jeszcze, że bardzo rzadko dwaj uczestnicy rozmowy mają jednakowe role, najczęściej jeden daleko więcej mówi, niż drugi. Mamy tego dowód w dyalogach Platona.

Przeobrażenie się monologu w dyalog potwierdza ewolucya wymowy parlamentarnej; zwykle dawniejsze mowy, napuszone i uroczyste, w wyjątkowych tylko wypadkach dają się słyszeć w parlamentach nowoczesnych. Im dalej się posuwamy, tem bardziej posiedzenia Izb deputowanych stają się podobne do dyskusyi, jeżeli nie salonowych, to przynajmniej klu-

bowych i kawiarnianych. Mówimy przeważnie dlatego, aby nauczać, prosić, rozkazywać albo pisać.

Pytanie, po którym następuje odpowiedź, to już zarodek dyalogu. Lecz jeżeli jedna osoba tylko pyta a druga tylko odpowiada, to taka jednostronna indagacja nie jest rozmową, czyli indagacją zobopólną, wymianą pytań i odpowiedzi, informacyi, wzajemnych zarzutów. Sztuka rozmawiania mogła powstać tylko po długiej pracy umysłowej, po wiekach ćwiczeń przedwstępnych, które rozpoczęły się w czasach najdawniejszych.

Jednak nie w najstarszych epokach historycznych ludzie najmniej rozmawiali, lub też najmniej próbowali rozmawiać. Rozmowa wymaga przede wszystkim chwil wolnych od pracy, pewnego urozmaicenia w zwykłym trybie życia, okazji do zebrań.

Przeto sposób przepędzania czasu ludów pierwotnych*), myśliwych i rybaków, którzy po większej części prowadzili życie bezczynne, a przytem koczujące, częste ich gromadzenie się na łowy lub połów, albo wreszcie w celu spożycia owoców wspólnej pracy, mogła sprzyjać popisom oratorskim lepszych mówców.

Eskimowie myśliwi i rybacy jednocześnie są bardzo rozmowni. Ten naród — o stanie umysłowym dziecka — zna już i wizyty. Mężczyźni i kobiety zbierają

*) W opisach podróży znajdujemy często wzmianki o upodobaniach gawędziarskich amerykańskich ludów myśliwskich, a zwłaszcza ich żon. Pewien misjonarz chwali np. młodą neofitkę, że nie traci czasu na wizyty, wbrew zwyczajowi innych kobiet tej miejscowości (Kanada).

(Gdzieindziej znowu spotykamy wzmiankę, że pewna młoda dziewczyna cieszy się ogólną sympatją pomimo skłonności dzikich do obmowy. Mieszkańcy stanu Illinois są bardzo sprytni, umieją nawet rozmawiać żartobliwie.

się oddzielnie na pogawędki, a po wyczerpaniu wspomnień o zmarłych członkach rodziny, rozmawiają o sprawach potocznych. Całemi godzinami gawędzą przy ucztach wspólnych, i to zwykle na temat polowania, będącego głównem ich zatrudnieniem.

Z najdrobniejszymi szczegółami opisują wszystkie ruchy myślowego i zwierzyńca. Opowiadając np. epizod z polowania na foki, lewą ręką naśladują skoki zwierzęcia, a prawą manewrowanie bronią i kajakiem (łodzia).

Życie pasterskie, na równi z łowiectwem, pozwala na długie wczasy, jest jednak bardziej regularne i monotonne i na dłużej ludzi osamotnia. To też ludy pasterskie koczujące, np. Arabowie i Tatarzy, już nie lubią rozmawiać. A jeżeli co innego znajdujemy w bukolikach Wergiliusza i Teokryta, nie zapominajmy, że ci dwaj poeci malują obyczaje pasterzy ucywilizowanych, żyjących w sąsiedztwie wielkich miast.

Lecz z drugiej strony w epoce życia pasterskiego, przy ustroju patryarchalnym, znaną już była cnota gościnności, a także w tem stadium rozwoju społecznego różnicowały się warstwy społeczne, co dało początek rozmowom obowiązkowym.

Jedną z przyczyn, które opóźniały prawdopodobnie narodziny rozmowy, przed ustaleniem się hierarchii społecznej, była ta, że ludzie niekulturalni w towarzystwie równych sobie zabierają głos jednocześnie i nieustannie przerywają mowę innym *).

*) Perant w podróży swojej do Trypolisu (1840) opisuje audyencyę u beja. „Przeraźliwy hałas w sali panował. Mamelucy i Murzyni—powiada on—mieszali się nieustannie do rozmowy, aż w końcu wszyscy zaczęli mówić naraz, co spowodowało taką wrzawę, że byłem zupełnie ogłuszony podczas pierwszej by-

Wiadomo, że najtrudniej tę wadę wykorzenić u dzieci. Pozwolić mówić interlokutorowi jest oznaką grzeczności, na którą początkowo zdobywali się ludzie tylko przez szacunek dla zwierzchnika, a dopiero, gdy weszło im to w nałóg, zaczęli słuchać mowy wszystkich bez wyjątku.

Czyli, że mogło się to rozpowszechnić w danym kraju, dzięki mozołnym ćwiczeniom uprzednim.

Możnaby przypuszczać, że życie rolnicze, sprzyjające powstawaniu grodów i państw o silnym rządzie, powinno było przyczynić się niepomiernie do rozbudzenia potrzeby rozmawiania. Tymczasem, przeciwnie, usposabiało do milczenia z powodu większego rozproszenia się ludzi, ich zajęć i niemożności rozporządzania czasem dowolnie.

Dopiero życie przemysłowe, skupiając ludzi w pracowniach miejskich, rozwinęło skłonność do rozmowy.

Wzmiankowano często o prawie rekapitulacyi, t. j. że stopniowe fazy rozwoju umysłu dziecięcego odtwarzają w skróceniu ewolucję społeczeństw pierwotnych. Jeżeli ten pogląd nie jest pozbawiony słuszności, to badanie rozmów dzieci różnego wieku może nas naprowadzić na ślad, w jaki sposób ludzie rozmawiali w zaraniu swego istnienia na ziemi.

Przed rozpoczęciem dyalogu dzieci zaczynają pytać. Interpelacye, z jakimi zwracają się do rodziców i osób dorosłych, są pierwszą jednostronną formą ich

tności u beja. Pytałem o powód takiej opozycyi. Odpowiedzieli mi wynijajaco, że mają zwyczaj prowadzenia dyskusyi tak głośno“. Do wyjątków należą mieszkańcy Illinois, którzy mają szczególniejszy dar prowadzenia rozmowy, umieją żartować, nie unoszą się nigdy, nie sprzeciwiają.

rozmowy. Później stają się opowiadaczami albo słuchaczami, lub też jednymi i drugimi kolejno.

Nakoniec później jeszcze robią uwagi, wyrażają swoje obserwacje, będące zarodkami przemówień; a gdy te ostatnie z kolei staną się wzajemnymi, powstaje spór, następnie rozmowa. Dziecko początkowo wierzy bezkrytycznie, potem zaczyna przeczyć. Ma ono swoją fazę przeczenia tak, jak przedtem miało fazę pytań. Pytania i odpowiedzi, rozmowa i sprzeczka, są to ćwiczenia umysłu dziecięcego, które poprzedza ćwiczenie woli. Zanim dziecko zacznie uczyć i ono samo naucza, musi ono ulegać woli innych i samo wydaje rozkazy. Nakaz poprzedza wskazanie. Dziecko walczy, zanim zacznie rozprawiać lub dyskutować; odczuwa przeciwieństwo jego sądów. Lecz jedno i drugie zaczyna czuć dopiero z chwilą, gdy samo ulegnie wpływowi tych pragnień i sądów. Bierność i łatwowierność dziecka są zasadniczymi, koniecznymi warunkami jego opozycji późniejszej i nieposłuszeństwa, a rozmawia i sprzecza się ono przez naśladownictwo. Jeżeli z tego chcemy wnosić, jaką była przeszłość rozmowy, musimy się zgodzić, że pomimo zamierzchłej starożytności nie powstała z chwilą pojawienia się człowieka na ziemi. Musiała być poprzedzana nietylko długim okresem milczącego naśladownictwa, lecz także i fazą naratorską, t. j. epoką, kiedy ludzie woleli słuchać i opowiadać, niż rozmawiać. Była to faza epepei. Jakkolwiek Grecy byli narodem najbardziej ze wszystkich rozmownym, niemniej jednak w epoce Homera nie wiele rozmawiano, a jeżeli — to tylko w celu zadawania sobie pytań. Wszystkie rozmowy Greków miały charakter utylitarny. Bohaterowie Homera są przede wszystkim naratorami, nie prowadzą gawęd, lecz rozmowy ich są kolejnym opowiadaniem różnych zdarzeń. „Przy pierw-

szym blasku zorzy, powiada Menelaus w Odysei (pieśń IV), będziemy gawędzili, będziemy długie wiedli opowieści”.

Długie opowieści nazywało się rozmową w owej epoce. Nawet rozmowy najbardziej napozór bezcelowe, rozmowy miłosne, miały charakter pewnej użyteczności. Hektor, wafając się, czy pójść do Achilleśa dla przedstawienia mu warunków pokoju, kończy słowami: „Nie pójde do tego człowieka, nie będzie miał żadnego współczucia... To nie pora rozmawiać z nim o dębie i skale, jak rozmawiają ze sobą chłopcy i dziewczęta. Lepiej się bić”.

A więc młodzi ludzie już flirtowali w owej epoce, a flirt ten polegał na rozmowie „o dębie i skale”, to znaczy o jakichś symbolach wierzeń ludowych. Dopiero cywilizując się w epoce Platona, Grecy nabrali upodobania do swobodnej gawędy w dyalogach, prowadzonej dla rozrywki w cieniu topoli nad brzegiem Ilissusu.

W przeciwieństwie do epopei starożytnej, a także i do pieśni trubadurów, gdzie bardzo rzadko można spotkać rozmowy, obfitością dyalogów odznaczają się romanse nowoczesne, począwszy od powieści panny de Scudéry.

III.

Chcąc zrozumieć historyczne przeobrażenie rozmowy, trzeba przedewszystkiem zbadać przyczyny jej powstania.

Przyczyny te bywają lingwistyczne: język bogaty, harmonijny, zdolny do wyrażania rozmaitych tonów uczuciowych — usposabia do gawędy.

Istnieją też przyczyny wyznaniowe: przedmiot rozmowy zmienia się zależnie od mniej lub więcej ograniczonej wolności słowa przez religię narodową; od tego, czy zabrania, pod groźbą mniej lub więcej surowych kar, flirtu, obmowy, wyuzdania obyczajów, czy tamuje lub nie postęp nauk i oświaty; czy narzuca lub nie regułę milczenia pewnym grupom społecznym, jak np. zakonnikom chrześcijańskim lub bractwom pitagorejczyków; czy wywołuje dysputy teologiczne np. na temat wcielenia dogmatu Łaski Niepokalanego Poczęcia *) i t. p.

Ma również przyczyny polityczne: w społeczeństwach demokratycznych zasilają rozmowę tematy ogólne, dostarczone przez trybuny i ruch wyborczy; w monarchiach absolutnych — przedmiotem rozmów bywają krytyki literackie, obserwacje psychologiczne i t. p. w braku innych ważniejszych a niebezpiecznych czasami.

Powyżej wymieniłem już najważniejsze przyczyny ekonomiczne**), jak np. dużo czasu wolnego i zaspo-

*) Dumont Durville, podróżując po Hiszpanii południowej, zauważył, że: „walki byków i spory“ o Niepokalanem Poczęciu, powstałe w niektórych klasztorach tamtejszych, absorbują umysły. Obecnie znalazłby, że wszystkie umysły pochłania polityka, będąca głównym tematem rozmów w Hiszpanii i wszystkich rzpt. hiszpańskich w Ameryce południowej.

**) Znaczną przeszkodą rozwoju stowarzyszeń spółdzielczych, tak bardzo korzystnych dla spożywców, mają być — według twierdzenia pewnego obserwatora — „komeraze i plotki, powstające w sklepach, gdzie spotykają się konsumentki z całej dzielnicy i wzajemnie sobie powtarzają różne nowiny. Możliwość prowadzenia tych gawęd, tak miłych dla kobiet z ludu, przywiązuje klientki do dostawcy. To właśnie skłoniło niektóre stowarzy-

kojenie niezbędnych potrzeb. Słowem niema ani jednej dziedziny działalności społecznej, któraby nie została w ścisłym związku z rozmową i której przeobrażenia na nią by nie wpływały. Pozwolę sobie jeszcze zanotować niektóre właściwości zwyczajowe, podrzędniejszego znaczenia, wywołujące pewne zmiany w rozmowie. Ton i przebieg rozmowy zależy od postawy ciała podczas mówienia. Rozmowy, prowadzone w pozycji siedzącej, są najbardziej skupione i najtreściwsze. Tak pospolite rozmowy u nas nie były znane na dworze Ludwika XIV, gdy przywilej taburetu należał tylko do księżniczek krwi — więc musiano tam rozmawiać stojący.

Starożytni w swoich trykliniach najlepiej lubili rozmawiać leżąc*), co nie przeszkadzało bynajmniej, że rozmowy ich były czarujące niewymownie, o ile można wnosić z właściwej im długości i potoczności pełnej wdzięku dyalogów, jakie nam zostawili.

Rozmowy perypatetyków w czasie przechadzki znamionują większą żywotność umysłową i większą ruchliwość.

szenia do sprzedaży *publiczności* (nie tylko stowarzyszonym), bo wtedy magazyny tracą charakter prywatny i krępują rozmowne kumoszki. Jest to najlepszy dowód, jak bardzo silną i trudną do opanowania jest potrzeba rozmowy, gdy raz puszczono jej wodze. Świadczy o tem również trudność utrzymania sekretu, jeżeli wiadomo, że może zainteresować kogoś ze znajomych, nawet wtedy, gdy najwłaściwiej byłoby milczeć⁴. Trudność ta, niekiedy tak poważna, może służyć jako probierz sympatycznej skłonności, jaką jest potrzeba ustnego porozumiewania się z podobnymi sobie.

*) Różnią się one od rozmów opisywanych przez Dumont Durville'a, który powiada, że mieszkańcy wyspy Haiti rozmawiają leżąc na brzuchu, co należy zaliczyć do dziwaczych obyczajów tych ludzi.

Nie ulega wątpliwości, że przemówienia, wygłoszane w postawie stojącej, mają charakter bardziej uroczysty i różnią się bardzo od przemówień, wypowiadanych bez powstawania z miejsca, więcej poufalitych i krótszych. Nie znam zupełnie przykładów mowy wygłoszonej chodząc, lub w postawie leżącej. Jeszcze jedna uwaga. Dostyc często, o tyle częściej, o ile się zbliżamy do życia ludzi pierwotnych, mężczyźni i kobiety — zwłaszcza te ostatnie — podczas rozmowy robią zwykle bądź to jakąś robotę ręczną, jak to np. wieśniacy na wieczornicach łuszczą groch, obierają jarzyny, a kobiety przędą, szyją lub robią pończochy na drutach, albo też gawędzą, jedząc i pijąc w kawiarniach, piwiarniach i t. p. Usiąść naprzeciwko siebie umyślnie i wyłącznie tylko dlatego, aby prowadzić rozmowę, jest już oznaką postępu cywilizacji.

Oczywiście, że zajęcie, jakiemu się oddają uczestnicy rozmowy, musi oddziaływać na jej przebieg.

Wpływają też na nią inne okoliczności: rozmowa prowadzona rano różni się od popołudniowej lub wieczornej. W Rzymie składano tylko wizyty ranne, nie znano tam więc nic podobnego do naszych pogawędek salonowych na *five o'clock's*.

Nie będziemy jednak zastanawiali się dłużej nad tymi szczegółami.

Przedewszystkiem należy zwrócić uwagę na ilość czasu, jaki można poświęcić rozmowie, liczbę i charakter osób, z którymi można rozmawiać, ilość i rodzaj tematów, nadających się do rozmowy. Ilość czasu, jaki można przeznaczyć na rozmowę, wzrasta wraz z ilością chwil wolnych od pracy, zapewnionych przez dobrobyt i udoskonalenie ogólnej produkcji. Liczba osób, z którymi można rozmawiać, wzmaga się w miarę, jak

zmniejsza się różnorodność narzeczy językowych, a zwiększa obszar panowania *) danego języka.

Ilość tematów rozmowy zwiększa się w miarę rozwoju i rozpowszechnienia nauki, gdy wzrasta ilość informacyj różnego rodzaju i udoskonala się sposób ich rozpowszechnienia. Nakoniec przez zdemokratyzowanie się obyczajów nie tylko wzrasta liczba osób, z którymi można rozmawiać, lecz także zmienia się ich jakość, bo różne warstwy społeczne swobodniej ze sobą rozmawiają. Dzięki więc przesiedlaniu się wsi do miasta, dzięki przekształceniu się wsi samej i wznieszeniu się poziomu ogólnego wykształcenia na wzór miasta średniego przeobraża się charakter rozmów i dawne tematy zostają zastąpione przez nowe.

Słowem niezbędnymi warunkami rozmowy są: spójność językowa, świadomość harmonii ideowej, swobodne rozporządzenie czasem. Wszystko więc, co jednocy i wzbogaca języki, wszystko, co zacierza różnice wychowania i wykształcenia, wszystko, co powiększa wczasy, skracając pracę produkcyjną — przyczynia się do rozwoju rozmowy.

To nam daje miarę, jaki wpływ olbrzymi wywarły na nią wielkie wynalazki zeszłego stulecia. Dzięki im bowiem prasa mogła świat cały zalać i przeniknąć do najniższych warstw ludności, bo najpotężniejszą siłą

*) Wzmaga się, rzecz prosta, wraz z cyfrą i gęstością ludności. Daleko mniej rozmawiają — *caeteris paribus* — na otwartych przestrzeniach, niż w mieście; emigracja wsi do miasta sprzyja rozwojowi rozmowy i wpływa na jej przeobrażenie. Czyż w małych miasteczkach, gdzie jest dużo wolnego czasu i gdzie wszyscy się znają, ludzie nie mówią więcej, niż w dużych? — Nie, bo im brak tematu do rozmowy, a jeżeli takowa zasługuje na to miano, to jest tylko echem dużych miast.

kierowniczą rozmów tegoczesnych jest książka i dzienniki.

Zanim one zaczęły panować, nie było większych różnic pomiędzy jednym miastem a drugim, pomiędzy jednym a drugim krajem, tak co do tematów, jak tonu i stylu rozmowy, i nie było bardziej monotonnego w każdym z nich poszczególnie.

Prasa ujednostajnia i pobudza do życia rozmowy, upodabnia je w przestrzeni, a różniczkuje w czasie. Dzienniki co rano dostarczają publiczności przedmiotu do gawęd na cały dzień i mniej więcej można zawsze określić temat pogawędek w klubie, fiumuarze lub sali sądowej.

Temat ten zmienia się z dnia na dzień lub z tygodnia na tydzień, z wyjątkiem bardzo rzadkich na szczęście wypadków jakiegoś nieporozumienia wewnętrznego lub międzynarodowego.

To wzrastające upodobnianie się rozmów jednoczesnych na pewnej przestrzeni geograficznej jest jedną z najwybitniejszych cech charakterystycznych naszej epoki i objaśnia nam potęgującą się wciąż przewagę opinii nad tradycją, a nawet i nad rozumem; a te coraz większe różnice rozmów, kolejno po sobie następujących, objaśniają znowu zmienność opinii publicznej, stanowiącą przeciwwagę jej potęgi *).

Nasuwa się tutaj proste, lecz dosyć ważne spostrze-

*) Rozmowy podobne czy zmienne świadczą zawsze o olbrzymim postępie z punktu widzenia społecznego, bo zlanie się kast i fachów, moralne zjednoczenie się współziomków, może się urzeczywistnić dopiero z chwilą, gdy ludzie, należący do rozmaitych grup i zawodów, będą mogli podtrzymywać rozmowę pomiędzy sobą. Zawdzięczamy to dobrodziejstwo — wzamian za wiele cierpień — prasie codziennej.

zenie. Rozmowa nie rozwijała się samoistnie dlatego tylko, że ludzie ze sobą rozmawiali. iNe, do tego było potrzeba zjawienia się nowych tematów, trzeba było, aby trysły nowe źródła rozmowy dzięki całemu szeregowi, bądź to przypadkowo, bądź też logicznem następstwem powiązanych ze sobą odkryć geograficznych, fizycznych, historycznych; wynalazków w dziedzinie rolnictwa i przemysłu; powstawania nowych prądów politycznych lub religijnych, nowych utworów literackich i dzieł sztuki. Te to właśnie nowości dostawały się jedna po drugiej do danego ośrodka i popularyzowane najprzód wśród grona wybranych, rozpowszechniały się w szerszych kołach i wpływały na wygładzanie i przeobrażanie sztuki rozmawiania, zmuszając do odrzucenia niektórych form archaicznych, staroświeckich zwrotów mowy, żartów jowialnych, przesadnej i śmiesznej górnolotności.

Gdybyśmy więc przez rewolucję rozmowy pojmowali ciągły i samoistny jej rozwój, byłibyśmy w błędzie.

Spostrzeżenie to może się odnosić do każdego innego rodzaju ewolucyi, bo każda z nich, po bliższem zbadaniu, przedstawia szereg zmiennych przeobrażeń, na podobieństwo kolejnych i uwarstwionych szczepień nowych zarodków.

W małym miasteczku, gdzie przypuścmy nie dochodzą dzienniki i niema możności porozumiewania się ze światem zewnętrznym, jak to miało miejsce w dawnych czasach, rozmowy mogą być bardzo ożywione i bardzo długie, lecz nie wnoszą się nigdy ponad poziom zwykłych plotek. Gdyby nie było prasy, to najbardziej gadatliwi obywatele ziemscy rozmawialiby tylko o polowaniu i rodowodach, a najwytworniejsi „causeurs” z pośród urzędników tylko o ustawach

i „ruchach sprężyny biurowej”, podobnie jak oficerowie niemieccy — według Schopenhauera — rozmawiają tylko o koniach i kobietach.

Faliste, że tak powiem, rozprzestrzenianie się naśladownictwa, tego pierwiastku asymilacyjnego i cywilizacyjnego, którego jednym z najpotężniejszych czynników jest rozmowa, objaśnia nam dostatecznie konieczność dwojakiego kierunku, jaki na pierwszy rzut oka dostrzegamy w ewolucyi rozmowy: z jednej strony wzrastanie liczby uczestników rozmowy, a z drugiej wywoływane tym wzrostem właśnie przejście z tematów ciasnych, interesujących niewielką tylko garstkę ludzi, do coraz podnioślejszych i ogólniejszego znaczenia *).

A chociaż ten dwojaki kierunek objawia się wszędzie w jednakowy sposób, to jednak nie przeszkadza bynajmniej, aby przebieg ewolucyi rozmowy był tak różnym u rozmaitych narodów i w rozmaitych fazach cy-

*) Przed XVIII stuleciem nie mógłby powstać taki salon, jak Holbacha. Salon pani Rambouillet był salonem *literackim i wytwornym*, nie było w nim swobodnej gawędy, a jeżeli to tylko w rozmowach miłosnych, flircie, podczas gdy w salonie Holbacha można było słyszeć, jak mówił Morellet, najswobodniejszą i najbardziej ożywioną rozmowę, jaka kiedykolwiek istniała; swoboda tych pogawędek ograniczała się jednak do tematów filozoficznych, religijnych i politycznych, wszelkie inne żarty były wyłączone. Inaczej było w wieku XVI i średnich wiekach: tak popularne wówczas „gauloiserie”, które zastępowały wszelkie inne gawędy salonowe, były to wyuzdane rozmowy na temat stosunków płciowych. W salonie Holbacha i innych salonach XVIII stulecia gromadzili się reprezentanci wszystkich warstw społecznych bez różnicy narodowości — eklektyzm niemożliwy w poprzedniej epoce. Wielka różnorodność zgromadzonych, niezwykła barwność i lekkość rozmowy odróżniały te salony od dawniejszych zebrań towarzyskich.

wilizacyi, jak np. linia brzeżna Nilu albo Renu różną jest od Gangesu albo Amazonki.

Różne są punkty wyjścia, jak to widzieliśmy, niemniej różne są drogi i krańce ostateczne — jeżeli te krańce wogóle istnieją. Nie zawsze byli błazni nadworni, których żarty niedorzeczne tak bawiły wieki średnie, ani też pałace Rambouillet, których następstwem było wyrugowanie trefnisiów *).

Nie ulega wątpliwości, że zniknięcie typu zawsze wykrzywionego i uprzykrzonego błazna było najlepszą wskazówką rozwoju rozmowy we Francyi. Ostatnim błaznem był l'Angely za Ludwika XIII. W Rzymie, Atenach i na Dalekim Wschodzie nie znano takich postaci.

Cóż więc pobudziło do życia uświadomioną sztukę rozmawiania? Czy to flirt, czy narady dyplomatyczne, czy też dysputy kościelne lub akademickie?

Wpływały na to różne stosunki lokalne. Na rozwój rozmowy włoskiej wpłynęła dyplomacya, rozmowy francuskiej — galanterya dworska, ateńskiej — dysputy sofistów, rzymskiej — rozprawy na forum; za Scypionów sztuka rozmawiania kształciła się na wzorach retorów greckich.

Czyż można się dziwić, że wobec tak różnorodnych czynników rozwoju, ukazywały się kwiaty o tak odmiennych barwach i woni? Lausan utrzymuje, że Rzymianie dopiero za Scypionów nauczyli się prowadzić rozmowę elegancką i uprzejmą.

W dyalogach Cycerona i Warrona widzi on nie-

*) Blazen Brusquet zabawiał towarzystwo, udając doktora w obozie Anny de Montmorency, i wyprawiał ad patres wszystkich pielęgnowanych przez siebie chorych. Henryk II, zamiast go powiesić, dał mu stanowisko naczelnika poczty w Paryżu.

tylko naśladownictwo Platona, lecz również „wyidealizowane wprawdzie, lecz wierne i żywe odtworzenie rozmów w ówczesnym Rzymie” — rozmów bezbarwnych, w których znać było wpływ szkoły raczej, niż dworu.

Kobiety w gronie rozmawiających pojawiły się znacznie później za Sewerów i Antoninów, u nas zaś panowały one zawsze, dzięki wpływom chrześcijaństwa i rycerskości średniowiecznej.

A chociaż ich obecność nie była konieczną dla rozwoju rozmowy, jak to mieliśmy sposobność zauważyć, jednak tylko udział kobiet w życiu społecznym mógł nadać jej ten wdzięk i doprowadzić do takiego stopnia wysubtelnienia, jakie rozmowie Francuzów nadają ów czar niewysłowiony.

W przeobrażeniu rozmowy możemy jeszcze zaznaczyć inny bardzo znamieny kierunek. Przebiegając kapryśnie skręty swoich różnorodnych prądów, rozmowa staje się coraz mniej utarczką, a coraz więcej dąży do wymiany myśli.

Przyjemność sprzecznania się odpowiada dziecinemu instynktowi małych kotków lub innych zwierzątek, które podobnie jak nasze latorośle przekomarżają się dla zabawy i staczają bitwy w miniaturze.

Lecz w dyalogach ludzi dorosłych zmniejsza się coraz stosunek utarczek słownych. Przedewszystkiem znika cała kategoria przyczyn, wywołujących niegdyś tak częste i zażarte spory, jak np. targowanie się — zastąpione obecnie przez ceny stałe. Następnie w miarę jak wiadomości z różnych dziedzin stają się coraz dokładniejsze, ściślejsze i obszerniejsze, w miarę ustalania się danych liczebnych, co do odległości, zaludnienia miast, państw i t. p. — zniknął przedmiot tak ostrych niegdyś sprzeczek, pobudzających zbioro-

wą miłość własną do przekonywania się wzajemnego, jak np. co do przewagi danych korporacji, wyznań, rodów na innymi pod względem kredytu lub władzy; — albo też o ile dany port jest większy od innego, co do liczby i wielkości okrętów, ruchu handlowego i t. p. Gwałtowniejsze jeszcze starcia, wywoływane przez konflikt ambicyi osobistych, których przyczyną było niezrozumienie się wzajemne, ustają teraz lub osłabiają się, dzięki coraz częstszemu obcowaniu i doskonalszemu poznawaniu się ludzi ze sobą. Każdy nowy nabytek w dziedzinie umysłowej przerywa źródło dawniejszych sporów.

Ileż podobnych źródeł zniknęło w początkach zeszłego stulecia! Zwyczaj podróŜowania, uogólniając się coraz bardziej, oddziałał na rozjaśnienie pojęć o obcych krajach i narodach, i uczynił niemożliwym powrót dawniejszych zatargów, sporów, wynikających z patryotyzmu nieoświeconego.

Nakoniec yzrastający wciąż indyferentyzm religijny coraz bardziej ułatwia zachowanie przepisów towarzyskich, które wzbraniają prowadzenia dysput religijnych w salonie tak niegdyś niebezpiecznych i namiętnych.

Budzący się indyferentyzm polityczny i w tej burzliwej dziedzinie zaczyna wywoływać analogiczne następstwa. Co prawda, jeżeli wzrost jasnych i ścisłych wiadomości rozstrzygnął dawniejsze problemy, to natomiast postawił nowe zagadnienia i nowe dyskusye wywoływał, z tych jednak wszelkie uniesienia są wyłączone, gdyż mają charakter więcej bezosobisty i łagodniejszy. Dysputy filozoficzne, literackie, estetyczne, czy też z dziedziny etyki podniecają wprawdzie przeciwników, lecz ich nie ranią. Zdaje się, że tylko dysputy parlamentarne — może tylko pozornie — nie da-

dzą się podporządkować pod to prawo stopniowego łagodzenia, a możnaby powiedzieć, że w nich raczej koncentruje się ferment niezgody naszych państw nowoczesnych, jakby szukając ostatniego schronienia.

Stąd wypływa wniosek, że rozmowa w przyszłości będzie spokojna, łagodna, pełna kurtuazyi i powabu.

Niepodobna jednak określić, jakie tematy otrzymają przewagę: czy będą to rozmowy filozoficzne, miłosne, czy estetyczne. Ewolucya rozmowy będzie miała kilka odplywów, tak jak miała kilka punktów wyjścia i kilka dróg rozwoju, pomimo jednolitości ogólnego kierunku *).

IV.

Po tym ogólnym rzucie oka na ewolucyę rozmowy, przypatrzmy się teraz bliżej rozmowie, uprawianej jako sztuka specjalna — szczyt przyjemności *).

*) Nie potrzebuję objaśniać, tak mi się to oczywiście wydaje, że ewolucya rozmowy zastosowuje się do *prawa naśladownictwa*, to znaczy, że niżej naśladowują uznawanych lub uznających się za wyższych. Znajdziemy również potwierdzenie dawniej wygłoszonego przeze mnie poglądu, że wśród warstw demokratycznych kapitał gra rolę arystokracji. Przez długi przeciąg czasu nowe formy rozmowy i nowe tematy wychodziły ze dworów panujących i elity arystokratycznej, naśladowanej potem przez pałace i domy mieszczańskie. Obecnie ton i temat rozmów rozechodzi się z Paryża naśladowanego przez miasta duże, średnie i małe, wsie i wioseczki, słowem wszędzie tam, dokąd dochodzą dzienniki paryskie lub telegraficzne echa wiadomości paryskich. Dlatego to akcent stolicy sięga aż na południe Francyi, tak jak zagranicą wymowa miasta stołecznego rozpowszechnia się na prowincyę, a nigdy odwrotnie, przynajmniej tam, gdzie takie miasto stołeczne istnieje. Gdyby stolicą Francyi było Bordeaux, cała Francya mówiłaby akcentem gaskońskim.

**) „Potrzeba nam — pisze panna de Montjensier do pani de Montoille — różnorodnego towarzystwa, aby można było poru-

W jakiej epoce tak zakwitła? Prawie pewną tego wskazówką jest rozkwit sztuki dramatycznej, zwłaszcza komedyi, która jest tylko dyalogiem i nie mogłaby zająć pierwszorzędnego stanowiska w literaturze i opowiadania epiczne zastąpić akcją dramatyczną, gdyby życie realne nie dostarczało wzorów tak świetnych i tak barwnych szermierek językowych. Tem objaśnia się fakt, że epopea wszędzie poprzedzała dramat. W rozmowach zawsze odzwierciedla się życie realne. Eskimowie i Czerwonoskórzy mówią tylko o łowach, żołnierze o bitwach, szulerzy o grze, marynarze o podróżach. Bieg życia codziennego odtwarza się w marzeniach sennych w nocy, a w dzień w rozmowie, która jest marzeniem złożonem we dwie lub trzy osoby, suzerujące się wzajemnie. Życie odzwierciedla się także w literaturze, która jest utrwaleniem mowy. Sztuka dramatyczna jest czemś więcej — jest reprodukcją mowy, a nie tylko jej utrwaleniem, jest więc w pewnym stopniu refleksem refleksu życia realnego.

Widoczniejszą jeszcze oznaką uprawiania rozmowy towarzyskiej jest rezerwowanie w domach zamożnych pokoju przeznaczzonego na rozmowę (causoir). Już istnienie rozmównicy publicznej jest niemiłej znaczącem. W gimnazyjach greckich, pośród oficyn, znajdowała się przestrzeń otwarta, zwana eksedrą, gdzie zgromadzali się profesorowie i która im służyła jako miejsce zebrań towarzyskich. To było lepsze od naszych wiejskich salonów pod gołem niebem — „w cieniu drzew”. Prawdopodobnie wzorując się na Grekach, patrycyusze rzymscy za cesarstwa, oprócz tryklinii

szac romaite kwestye w rozmowie, która dla Pani i dla mnie jest największą przyjemnością w życiu, a według mnie jedyną“.

i bibliotek, budowali w swoich wspaniałych mieszkaniach galeryę, zwaną również *eksedrą*, gdzie przyjmowali filozofów, poetów i wybitniejszych gości.

Początek naszych salonów był bardzo różnorodny. Czy salon nie powstał z rozmównicy klasztornej, chociaż ta właściwie odpowiadała innemu celowi: konieczności uczynienia wyjątku z reguły milczenia? *) To bardzo prawdopodobne.

Bądź co bądź, to pewna, że salon ukazał się w pałacach włoskich XV stulecia, a podczas Odrodzenia *) rozpowszechnił się w zamkach francuskich i pałacach paryskich. Bardzo jednak powoli przedostawał się do domów mieszczańskich aż do naszych czasów, t. j. epoki, kiedy najmniejsze nawet mieszkanie rości sobie prawo do posiadania salonu. Delahonte, opisując dom, zbudowany w Crécy przez jego pradziada, nie wspomina o pokoju specjalnie przeznaczonym na przyjęcie gości. Jedna sala zastępowała miejsce salonu, sypialni i jadalni. A dom ten należał do przedstawiciela zamożnej burżuazji, który ciągle powiększał swój majątek. Jadano tam często w kuchni. Lecz w tem mieszkaniu, uważanem podówczas za bardzo wykwintne, istniał „gabinet spoczynku”, przeznaczony na samotne rozmyślanie, a nie dla gości. We Francji pałac Rambouillet, którego salon otwierał się w zaraniu wielkiego stulecia — 1600 r. — był nie pierwszą kolebką,

*) Nakaz milczenia, dobrowolne wyrzeczenie się wszelkiej nieużytecznej rozmowy, był zawsze uważany za najsrodsze umartwienie i najsurowszą regułę, często naruszaną. To dowodzi, do jakiego stopnia ogólną jest skłonność rozmawiania, i jak bardzo domaga się zaspokojenia.

**) Każda z dam wielkiego świata w tej epoce miała swój salon, pod nazwą *ustronia*, *gabinetu* lub *alkowy*.

lecz pierwszą szkołą sztuki rozmawiania. Dzięki 800 „*précieuses*” tam wykształconych, których imiona do nas doszły, rozpowszechniła się „*pasya rozmawiania*”, że użyjemy wyrażenia jednego ze współczesnych, a z Francji, będącej wówczas wzorem wszechświatowym, przedostała się zagranicę. Miało to bez wątpienia wielki wpływ na kształtowanie się i przeobrażanie języka francuskiego.

„*Précieuses*, według księdza de Purie, składają uroczysty ślub czystości stylu i wiecznej walki z pedanterią i prowincjonalizmem”. Podług innych, „czasami bezwiednie tworzą one nowe wyrazy, lecz opuszczają je w obieg z możliwie największą swobodą i delikatnością”. Co chwila i przy każdej sposobności w rozmowie roztrząsają wątpliwości językowe i gramatyczne. Jedna z nich nie chce np., aby mówiono „*j'aime le melon*” *), gdyż to jest profanacja wyrazu „*j'aime*”. Każda z nich ma swój dzień, będący *rendez-vous* zapaśników tych turniejów językowych. Stąd powstał *Calendrier des ruelles*. Wprowadzenie tego zwyczaju przypisywano pannie de Scudéry, którą bezwiednie naśladowują wszystkie społeczne nam domy, mające również swoje dni przyjęć.

Sztuka rozmawiania absorbowwała tak dalece „*précieuses*” i wszystkie panie wielkiego świata, które się na nich wzorowały, że na zebraniach nie czyniły użytku ze swoich dziesięciu palców wbrew zwyczajowi kobiet z ich epoki. „Naprawdę szukałem — powiada Roederer **) — w opisach z tamtych czasów wzmianki o zaję-

*) Wiadomo, że język irański posiada jedno tylko wyrażenie na określenie pojęć wyrażonych przez nasze „lubić” i „kochać”.
(p. ł.)

**) Pamiętniki.

ciach, wykonywanych przez kobiety wyższego towarzystwa podczas rozmowy w salonie. Chciałbym zobaczyć w ich ręku igłę, czólenko, wrzeciono, lub motowidło; pragnąłbym zobaczyć, jak one haftują i wyszywają na kanwie”. Tembardziej się to dziwnem wydaje, że daleko później pani de Maintenon, wierna staremu zwyczajowi, kręciła wrzeciono i rachowała swoje kłębki, rozmawiając z Ludwikiem XVI.

W społeczeństwie istotnie cywilizowanym nie wystarczy, by meble w mieszkaniu i przedmioty koniecznego użytku były dziełami sztuki, trzeba jeszcze, by w każdym wyrazie i gościu najlżejszym, oprócz cech użyteczności, bez afektacyi naturalnie, był wdzięk właściwy i piękno. Trzeba, aby gości były stylowe, jak są stylowe meble*). To właśnie odróżniało nasz świat arystokratyczny XVII w. od XVIII stulecia. Nie sądzmy jednak, by te jego upodobania należały do wyjątków. W każdym społeczeństwie cywilizowanym ta sama potrzeba daje się uczuć, tylko w innej formie; daje się uczuć nawet i teraz, w estetycznych oczach naszej demokracji.

Czytając Taine'a, możnaby dojść do wniosku, że rozmiłowanie się wyższych sfer towarzyskich w szermierze językowej i życiu salonowem było nietylko bardziej intensywne przed Rewolucją, lecz także było jedyną cechą charakterystyczną społeczeństwa francuskiego w tej fazie jego rozwoju.

Lecz tutaj ten umysł przenikliwy popełnia błąd, i to dość poważny. Twierdzi on np., że życie salonowe w dawnej Francji rozbudziło upodobanie pojęć abstrak-

*) Turgot był często strofowany przez swoją matkę—powiada Morellet—za to, że był ponury i niechętnie się kłaniał.

cyjnych. Lecz Tocqu eville z wi ksz  zdaje si  s uszno ci  twierdzi,  e to wp ywom r ad w republika skich nale y przypisa  wi ksz  sk onno c  do analizowania poje c abstrakcyjnych w Stanach Zjednoczonych, ni  w Anglii, za jego czas w — pomimo wsp olno ci rasowej i obyczajowej obu tych pa stw.

Przyjemno c rozmawiania o poje ciach abstrakcyjnych by a znana r wnie  i gdzieindziej, a nie stworzy a  ycia salonowego. Salon jest tylko oznak  — jak to ju  powiedzieli my — jedn  z oznak istnienia, a nie jedynym terenem rozmowy towarzyskiej, kt ra wy oni a si  bez jego udziału w Grecji za Peryklesa, w Rzymie za Augusta i w s redniowiecznych miastach w oskich.

Potrzeb  rozmawiania budzi o  ycie w gimnazyach greckich, b d  to  ycie na forum, b d  te  klasztorne, a zwi szcza w klasztorach  e skich, gdzie rozmowy musia y by  bardzo o ywione i bardzo interesuj ce, za czas w św. Ludwika, skoro tak gorszy y biskupa Endes Rigaud. U nas obecnie rozwija si   ycie kawiarniane i klubowe, pomimo na ladowczego i z pr o no ci wynikaj cego mno enia si  „salon w”.

 ycie towarzyskie we Francji przed Rewolucy  powsta o z pierwiastk w bardzo z o onych. Przyjemno c rozmawiania nie by a tutaj jedn  pobudk , musimy jeszcze zwr ci c uwag  na przyjemno c kopiowania dworu lub na ladowania jego kopii, to znaczy na hierarchiczne grupowanie si  m czyzn i kobiet pod zwierzchnictwem jednej osoby, kt rej wszyscy sk adaj  ho dy i kt ra reprezentuje monarch  w miniaturowej, t. j. pana lub pani domu. Umiej tno c zachowywania si  w takim o rodku nie polega wy acznie na prowadzeniu rozmowy, lecz wymaga przede wszystkim swobodnego, pewnego siebie i delikatnego cieniowania oznak szacun-

ku wedle rozmaitości zasług i stanowiska; a przyjemność dogadzania w ten sposób miłości własnej uczestników zgromadzenia, złożonego wyłącznie z hierarchii, jest cenioną na równi przynajmniej z przyjemnością wymiany i harmonii myśli. Nakoniec rodzaju hegemonii, królowania kobiet w rozmowie salonów francuskich, nie możnaby zrozumieć bez dawnych instytucji rycerskich, których szczątki przechowały się na dworach monarszych.

Zarzuty, jakie Taine robi życiu towarzyskiemu w swoim dziele *Francya przed Rewolucyą*, nie odnoszą się wcale do życia rozmowy wogóle. To nieprawda, by ona była z konieczności „sztuczna i oschła”, i tylko w pewnym stopniu jest to słuszne w stosunku do salonów najbardziej arystokratycznych. Po pierwsze, jakkolwiek życie salonowe wyraża szacunek dla hierarchii społecznej, jednak, ponieważ przede wszystkim dąży do harmonii towarzyskiej, ochraniając ambicje osobiste, musi z konieczności zacierać różnice stopni, nawet wtedy, gdy je podkreśla. O niem to, jak o przyjaźni, można powiedzieć: *par es a ut facit a ut in venit*— powstaje tylko wśród równych albo wyrównywa; życie towarzyskie rozwija się tylko pomiędzy podobnymi sobie albo asymiluje. Tylko równa i asymiluje stopniowo. Nie ulega wątpliwości, że równość praw i stanowiska jest jedynym stałym i ostatecznym równoważnikiem ambicji osobistych w dłuższem obcowaniu. Jest ona zresztą, jak wiadomo, maską konwencyonalną, przezroczywą zasłoną, pokrywającą wielkie nierówności talentów i zasług osobistych, i służy do uwydatnienia ich wartości. Ta fikcyjna równość jest ostatecznym rozkwitem towarzyskości. Na dworze królewskim, wbrew wszelkim prawidłom etykiety, zwyczaj przebywania i rozmawiania z królem wytwarza pomiędzy

nim a poddanymi pewną poufałość, niwelującą prawie różnice położenia. „Sire — mówił marszałek Richelieu do Ludwika XVI, świadek naoczny dwu poprzednich panowań — wobec Ludwika XIV nie śmiano się odezwać, wobec Ludwika XV mówiono po cichu, a wobec W. Królewskiej Mości rozmawia się głośno”. Ale zanim zmniejszyła się przestrzeń, dzieląca dworzan od królewskiego pana domu, znikwały powoli różnice pomiędzy jego gośćmi i, wskutek przebywania wspólnego na dworze, zaczęły się zlewać nieskończone stopnie szlachectwa. „Sztuczne?” Czyż to może być, aby życie towarzyskie, dodajmy jeszcze życie w klubach, kawiarniach i t. p., było sztuczne?

Czyż towarzyska natura człowieka nie skłania go do wspólnych zabaw, do szukania rozrywki w zebraniach różnego rodzaju? I czy nie jest to dla niego tak naturalne, jak życie stadowe dla barana?

Co zaś do oschłości „serca”, jaką ma zaszczerpieć życie salonowe, to jej przyczynę widzę w szacunku obowiązkowym dzieci dla rodziców, starszych dla młodszych, co wytwarza nądzwyczajną nierówność, nawet pomiędzy przyjaciółmi. Lecz od czasu, gdy właśnie wskutek życia towarzyskiego zmniejsza się ta nierówność, zostało przyjętem jawne okazywanie naturalnych uczuć serdecznych i swoich upodobań, a popisywanie się z niemi może nawet stać się modną afektacją, jak to miało miejsce w ciągu drugiej połowy XVIII stulecia, dzięki „powrotowi do natury”, do wszystkiego, co było proste i szczerze.

Ten jeden fakt, że życie towarzyskie w jednej ze swoich faz rozwojowych, w fazie końcowej i przy swoim ujściu, że tak powiem, sprzyja ujawnieniu się impulsów uczuciowych i namiętnych uniesień, dowo-

dzi, że „oschłość serca” nie jest zasadniczą cechą światowości.

To prawda, że w okresie przedrewolucyjnym stosunki towarzyskie były przeszkodą rozwoju życia rodzinnego, lecz to samo można powiedzieć o wszystkich zajęciach absorbujących, bądź to zawodowych, estetycznych, bądź też politycznych lub religijnych. Obecnie rozwojowi życia rodzinnego przeszkadza nie salon, lecz życie pozadomowe w klubach, kawiarniach; rodzinie robotnika wyrządza szkodę życie w warsztatach, rodzinie aferzysty — życie na giełdzie, działacza politycznego — życie zbiorowe i parlamentarne. A później w silniejszym jeszcze stopniu — jeżeli urzeczywistnią się mrzonki kolektywistów — szkodzić mu będzie życie w falansterach.

Nie możemy również zaliczać do głównych cech światowości tego, co Taine podkreśla jako jej rys najbardziej znamieny i najwybitniejszy, t. j. wstrętu do nowości i obawy wszystkiego, co jest oryginalne. W rzeczy samej wynikiem każdego intensywnego życia społecznego jest pojawienie się burzliwych prądów w obyczajach, opinii, zwyczajach, którym trudno stawić czoło, a które pochłaniają wszystkie inne nowe kierunki, mniej jaskrawo występujące.

Tylko silne i wyjątkowe typy oryginalne dochodzą do celu i wtedy stają się ogniskiem nowej zarazy, z którego promieniują ich cechy osobiste, pokrywające dawne znamiona. Takim było apostołstwo życia pierwotnego, głoszone przez J. J. Rousseau; zabrzmiało ono dysonansem wśród wyuzdania w życiu towarzyskim owej epoki i przeobraziło je według swojej modły.

Czy jednak możnaby twierdzić, że również jakiś

Diderot*) lub Voltaire i tylu innych narzucili społeczeństwu swoją osobowość, dlatego, że stłumili życie towarzyskie?

V.

Ewolucya życia salonowego pozwoli nam przypatrzyć się bliżej ewolucyi rozmowy ze strony bardziej znamiennej. Nazywamy „towarzystwem” grupę ludzi mających zwyczaj zgromadzania się dla pogawędki w jakimś miejscu określonym. W najniższych nawet warstwach społecznych istnieją „towarzystwa”, złożone z niewielkiej ilości uczestników, grupujących się w bardzo wiele kółek rozmaitych. W każdej wsi nawet najbardziej zacofanej gromadzą się zwykle wieśniacy po dwóch lub trzech na wieczornice albo w karczmie, a chociaż na wieczornicach zajęci są jakąś robotą ręczną, a w karczmie więcej piją, niż mówią—w każdym razie rozmawiają. Są to zawiązki naszych salonów. W miarę wznoszenia się po drabinie społecznej, zmniejsza się ilość kółek towarzyskich, lecz każde z nich wzrasta liczebnie. Kawiarnie robotnicze dzielą się już na daleko większe grupy, zwykłych gawędziarzy lub zawziętych piniaczy. Drobnii przemysłowcy mają już

*) Morellet, jeden ze współczesnych Diderot'a, zachwyca się jego rozmową. „Była w niej wielka potęga i czar niewysłowiony; jego dyskusye były subtelne bez niejasności, odznaczały się bogactwem form i żywą wyobraźnią, zawierały mnóstwo wzniosłych myśli i budziły je w innych, porywały jak prądy rzeki górskiej,—można było go słuchać całemi godzinami“.

Ukrytymi źródłami Wielkiej Rewolucyi, począwszy od połowy XVIII stulecia, były prywatne rozmowy towarzyskie, i to właśnie obala przypuszczalny *mitoneizm* salonów.

dochody i chętnie słuchają plotek miejscowych. Te sprawy zawodowe i osobiste przeważają jeszcze w rozmowach robotników i drobnych przemysłowców, też tutaj jako główny temat, zamiast pogody, występuje polityka, osnuta na poglądach prasy codziennej. Meteorologia polityczna zajęła miejsce meteorologii nieba, i to już znamionuje postęp społeczny. Prawnicy i lekarze, chociaż lubią czasami rozprawiać o swoim zawodzie, często jednak starają się o nim zapomnieć i zapuszczają się w rozprawy filozoficzne i naukowe*). Nakoniec doszedłszy do najwykwintniejszych warstw

*) Nie zawsze tak było; im bardziej cofamy się w przeszłość, tem więcej widzimy ludzi klas średnich rozmawiających tylko o swoich zajęciach osobistych. Panna de Robinau (1644) w liście do p. de Scudéry, w sposób żartobliwy opisuje swoją podróż w dyliżansie pocztowym i słyszaną tam rozmowę. Towarzysami podróży p. de Robinau byli: jakiś młody finansista, jakiś niepowołany artysta, mieszczanin z Rouen, który przegrał proces w Paryżu, kupiec korzenny z ulicy Saint-Antoine, handlarka świec z ulicy Michel — le Comte, pragnąca zwiedzać „łady i morza“, student wracający z Bourges do swego liceum i jakiś krotocwilny jegomość, który sypał jak z rękawa płaskie dowcipy i szydząc z całego towarzystwa, sam był nad wyraz śmiesznym. Otóż wszyscy ci ludzie mówili tylko o swoich sprawach osobistych lub zajęciach zawodowych. Finansista wracał ciągle do swoich operacji pieniężnych; artysta chciał ciągle śpiewać; handlarka myślała o swoim sklepie; student mówił tylko o prawodawstwie i obyczajach, co chwila i przy każdej sposobności wspominał nazwiska słynnych prawników. Słowem nie było wcale rozmowy ogólnej, nie poruszano wcale przedmiotów mogących zainteresować całe towarzystwo, czyli była to tylko wymiana monologów. Obecnie dzięki czasopismom poruszonoby w tak różnorodnem towarzystwie tematy ogólne. Panna de Scudéry przygodnych towarzyszy podróży nazywa „złem towarzystwem,“ bo aby mógł zakosztować czaru rozmowy ogólnej i interesującej wszystkich uczestników zgromadzenia,

towarzyskich, można spostrzedz, że tam rozmowy o pracach zawodowych i polityce bieżącej są zredukowane do minimum, a natomiast tematem pogawędek są pojęcia ogólne, poddawane sobie wzajemnie, czerpane z książek, podróży, lub też wysnute z osobistych spostrzeżeń, dzięki poważnemu i starannemu wykształceniu. Prasa codzienna przestaje być tutaj kamertonem i zwykłym sternikiem rozmowy, a przynajmniej jej suzerujące działanie jest mniej doraźne i tylko powierzchowne. Zasila ona pogawędki bezpośrednio tylko w chwilach, gdy jakaś wiadomość sensacyjna lub jakaś kwestya uporczywie wraca na szpalty dziennikarskie. Poza tem rozmowa tej grupy emancypuje się, schodzi na tory nieprzewidziane, porusza tematy egzotyczne i w ten sposób z „towarzystwa” ludzi przycywilizowanych robi koło magiczne, które rozszerza się nieustannie w czasie i przestrzeni, jednoczy śmietankę towarzystwa wszystkich krajów cywilizowanych i łączy ją z „ludźmi dobrego tonu” epoki ubiegłej *).

trzeba było żyć w jej epoce w takim kole zamkniętem i odgrodzonym od reszty świata, jakiem było twarzystwo pałacu Rambouillet, złożone z ludzi należących do jednej kasty i wychowanych według jednego wzoru. To nam objaśnia nicopisany czar rozmowy w podobnych przybytkach umysłowych. La Fontaine w listach do swojej żony opowiada też o rozmowie w dyliżansie zupełnie beztreściowej, z wyjątkiem ożywionego spoju pomiędzy katolikami a protestantami na temat dogmatów religijnych.

*) Gdyby „*précieuses*“ XVII stulecia mogły odżyć i zacząć rozmawiać, pogawędki ich interesowałyby nas niezmiernie, a nadewszystko interesowałyby nasze feministki. Podług ks. de Pure na zebraniach „*précieuses*“ poruszano różne zagadnienia, np. o wyższości poezji lub nauki wogóle albo też poszczególnych gałęzi wiedzy, romansu nad historją lub odwrotnie. Rozprawiano o prawach kobiety w społeczeństwie i rodzinie, wygłaszano zasady wolności, mające cechę bezwzględного panowania kobiety raczej, aniżeli równouprawnionej niezależności. — „Zdaje mi się,

Ci „ludzie dobrego tonu” są w każdej epoce wzorowym typem najwyższego rozwoju towarzyskości, można ich poznać zawsze po niewyczerpanem bogactwie coraz nowych tematów rozmowy, jakie im dostarcza wyższy poziom wykształcenia ogólnego, które jest uzupełnieniem wykształcenia specjalnego i technicznego.

Nie chcę tutaj rozstrzygać w kilku słowach kwestyi tak ważnej i niepokojącej, jak reforma wykształcenia klasycznego; pozwolę sobie tylko zaznaczyć, że gdyby niezmierna doniosłość rozmowy była należycie pojętą, to możnaby z tego wysnuć argument zasadniczy, a w każdym razie argument godny uwagi na korzyść zachowania kultury tradycyjnej w szerszym zakresie. Okazałoby się wtedy, że dodatni wynik nauki języków i literatury starożytnej nie polega tylko na utrzymaniu związku umysłowego pokoleń po sobie następujących, lecz przedewszystkiem na ustaleniu dla każdej epoki ścisłego łącznika intelektualnego, pomiędzy członkami elity narodowej lub nawet elity wszystkich narodów, i na możliwości dostarczania im tematów do przyjemnej, interesującej pogawędki, bez względu na zawód przez nich uprawiany, warstwę społeczną i kraj, z którego pochodzą.

powiada jedna z uczestniczek rozmowy, że, podejrzenia niesłuszne męża dają prawo kobiecie do upadku moralnego“.— Jedna z „*précieuses*“ wychwala Corneille’a, druga przekłada Beuserade’a jako poetę i dworaka, trzecia bierze w obronę de Chapelaine’a. U p. de Scudéry rozprawiają o Quinault’cie. Zdarza się np., że jedna z „*précieuses*“ oplakuje przyjaciela i zaczyna analizować istotę cierpienia; dochodzi wreszcie do wniosku, że ból jej wynika z przeżywania we wspomnieniach przyjemności doznawanej w obcowaniu ze zmarłym. Odzywają się głosy przeciwnie, a jedna z antagonistek dopatruje w tem dowodzeniu przejawów barbarzyństwa,

Przypuśćmy, że nauka języka łacińskiego, czytanie autorów łacińskich, jak również nauka filozofii i historii filozofii została nagle usunięta ze szkół francuskich, to w krótkim czasie nastąpiłby rozłam umysłowości francuskiej, nowe pokolenia nie mogłyby należeć do towarzystwa pokoleń starszych, a różne kategorie zawodowców: lekarze, inżynierowie, adwokaci, wojskowi, przemysłowcy, otrzymawszy specjalne tylko wykształcenie, staliby się towarzysko sobie obcy. Nie łączyłoby ich ze sobą, a co zatem idzie, nie mieliby innego tematu rozmowy, jak tylko kwestye sanitarne, gawędziliby o deszczu i pogodzie, lub też o polityce bieżącej. Wtedy to „dusza Francyi” byłaby rozbita nie na dwie, lecz na sto części. Wiem dobrze, że w oczach ekonomistów dawnej szkoły korzyść, wynikająca z możności eksploataowania, w rozmowie ludzi kulturalnych, jednego i tego samego wątku tematowego, jest zupełnie nieprodukcyjną błahostką, bo dla nich rozmawiać, to znaczy tracić czas. A nie ulega wątpliwości, że gdyby całe życie społeczne musiało się skupiać w produkcyi gorączkowej, w produkcyi dla produkcyi, mowa byłaby tolerowaną tylko jako środek wymiany.

Czyż społeczeństwo, które zrealizowałoby ten ideał, w którym ludzie rozmawialiby tylko dlatego, aby ułatwiać interesy kupna, sprzedaży i inne układy handlowe, mogłoby istotnie nazywać się społeczeństwem? Nie byłoby wtedy ani literatury, ani sztuki, nie znanoby miłej gawędy przyjacielskiej przy stole. Posiłki spożywane w milczeniu — bufet pomiędzy dwoma pośpieszonymi pociągami — życie gorączkowe i nieme. Jeżeli odrzucimy tę perspektywę, jeżeli zrozumiemy, że nieodzowną dla nas wszystkich potrzebą jest rozumieć się wzajemnie coraz lepiej, kochać się i wybaczać sobie

coraz więcej, jeżeli przyznamy, że zaspokojenie tego pragnienia jest najwspanialszym i najśłodszym owocem cywilizacji, przekonamy się, że najważniejszym obowiązkiem państwa jest unikać wszystkiego, co mogłoby tamować rozlewność życia inter-umysłowego, a czynić wszystko, co sprzyja jego rozwojowi.

VI.

Określiwszy różne odmiany rozmowy, jej przeobrażenia i przyczyny, musimy teraz chociaż w kilku słowach wykazać jej następstwa, o których wzmiankowaliśmy zaledwie. Obawiając się, aby żadnego ważniejszego nie opuścić, przeprowadźmy klasyfikację tych następstw według różnych wielkich działów stosunków społecznych. Z punktu widzenia lingwistycznego rozmowa utrwała i wzbogaca języki, jeżeli już nie rozszerza ich dziedziny terytoryalnej, tworzy literaturę, a w szczególności dramat. Z punktu widzenia religijnego jest najpłodniejszym w następstwa środkiem propagandy, rozpowszechnia dogmaty albo niedowiarstwo. Wierzenia religijne utrwalają się lub osłabiają, nie tyle za pośrednictwem apostołstwa, ile dzięki rozmowom.

Z punktu widzenia politycznego rozmowa stanowi hamulec dla rządu w daleko wyższym stopniu, niż prasa, i jest niedostępnym schronieniem swobody; tworzy opinię i przesady, orzeka o sławie, a przez nią o władzy. Dąży do zrównania uczestników rozmowy, asymilując ich, znosi hierarchie, dzięki temu, że je zaznacza. Z punktu ekonomicznego ujednostajnia pojęcia o użyteczności bogactw, tworzy i określa pojęcie wartości, ustala drabinę i system wartościowy. A zatem owa żbyteczna paplanina, strata czasu w oczach ekonomistów

użytecznych, jest w rzeczy samej najniezbędniejszym czynnikiem ekonomicznym, gdyż bez niej nie byłoby opinii, a bez opinii nie byłoby wartości zasadniczego postulatu ekonomii politycznej, a naprawdę i wielu innych nauk społecznych. Z punktu widzenia etycznego rozmowa walczy nieustannie i najczęściej z powodzeniem, przeciwko egoizmowi jednostek i ich skłonności do prześladowań z pobudek osobistych; kreśli plan i toruje drogę teologii społecznej, przeciwstawiając ją teologii indywidualnej, i dzięki temu, za pośrednictwem pochwał lub nagan właściwie rozdzielanych i szerzących się epidemicznie, budzi wiarę w zbawienne ułudy lub kłamstwa konwencyonalne. Przez wzajemne przenikanie umysłów i dusz oddziaływa dodatnio na kielkowanie i rozwój psychologii nie tylko ściśle indywidualnej, lecz przede wszystkim społecznej i etycznej. Z punktu widzenia estetycznego daje początek uprzejmości, za pośrednictwem pochlebstwa, najprzód jednostronnego, a potem odwzajemnionego, dąży do szarmonizowania sądów o pięknie, co ostatecznie osiąga i w ten sposób tworzy sztukę poetyczną, kodeks estetyczny, panujący wszechwładnie w każdej epoce i w każdym kraju.

Dzielnie więc pracuje nad rozwojem cywilizacji, której zasadniczym warunkiem jest polór towarzyski i sztuka. Giddings w swoich *Zasadach socjologii* wspomina o rozmowie i uwaga jego ma pewną doniosłość. Twierdzi on np., że kiedy dwie osoby nieznajome spotkają się, to ich rozmowa jest tylko dopełnieniem spojrzeń wzajemnych, któremi się badają i starają się dowiedzieć, czy należą do jednego gatunku społecznego, do jednej i tej samej grupy społecznej. „Miłem jest dla nas złudzenie — mówił on — wiara, iż pobudką naszej rozmowy jest zainteresowanie się tem,

o czem mówimy, tak samo jak miłujemy najmilszą ze wszystkich wiarę w sztukę dla sztuki. A w istocie wszelkie wypowiedanie się w mowie pospolitej, czy też w sztuce, wszelkie porozumiewanie się słowne, począwszy od przygodnej rozmowy w początkach znajomości, aż do szczerzej i poważnej poufalości ludzi kochających się szczerze, wypływa z jednego źródła: namiętnego pragnienia poznania i dania się poznać nawzajem, a zarazem chęci jasnego określenia świadomości rodzaju”. Czy pierwsze rozmowy dwu osób nieznanymi mają zawsze cechy wykazane przez Giddingsa, jest bardzo wątpliwem, chociaż prawdziwem w wielu wypadkach. Lecz nie ulega wątpliwości, że rozmowy późniejsze tych osób, gdy znajomość już została zawartą, mają zupełnie inny charakter. Dążą one do przystosowania się wzajemnego tych dwu osób, lub też do wzmocnienia tego przystosowania, jeżeli obie należą do jednego towarzystwa. Następnie dążą do rozbudzenia, zaakcentowania, rozszerzenia i pogłębienia świadomości rodzaju, a nietylko do jej określenia. Nie idzie tutaj o obnażenie jej granic, lecz o to, aby je nieustannie rozszerzać.

Wrócimy do niektórych ogólnych następstw rozmowy. Gdy naród cywilizowany, z powodu utraty środków bezpieczeństwa publicznego, zniszczenia mostów, dróg komunikacji, przerwania korespondencji, stosunków społecznych, zapada w stan barbarzyństwa, staje się stosunkowo niemym. Przedtem mówił dużo prozą i wierszem, ustnie i piśmiennie — teraz milczy. Do jakiego stopnia lubiono rozmawiać przed upadkiem cesarstwa Rzymskiego, można mieć pojęcie z ustępów Makroba, współczesnego Teodozjuszowi Młodszemu. W jego Saturnaliach (jak wiadomo, napisanych w dyalogach) jeden z uczestników rozmowy mówi do drugiego

go: „Traktuj swego niewolnika łagodnie, przypuść go chętnie do udziału w rozmowie”. Gani postępowanie tych, którzy zabraniają niewolnikom usługującym wtrącać się do rozmowy przy stole, co, zdaje się, dość rzadko miało miejsce w jego epoce. W innym miejscu jedna z tych osób mówi: „W ciągu całego mego życia, Decyuszu, miałem to przekonanie, że nie mogę lepiej zużytkować czasu wolnego od bronienia spraw w sądzie, jak na rozmowę w towarzystwie ludzi tak wykształconych, jak ty naprzykład. Umysł niezmanierowany nie może znaleźć przyjemniejszej i pożyteczniejszej rozrywki nad rozmowę towarzyską, gdzie uprzejmość krasie pytanie, jak również i odpowiedź”. To ostatnie zdanie trąci wprawdzie już zbliżającym się barbarzyństwem; zresztą może to upodobanie w rozmowie trochę zanadto napuszonej i zbyt obfitej w słowa, z czego się naśmiewał Horacy, wynikało z oratorskich nawyków tego adwokata. Osamotniony włościanin milczy; barbarzyńca w swojej siedzibie obwarowanej, w jakiejś szczelinie skalnej, też nic nie mówi. A jeżeli przypadkiem się odezwie, to tylko dlatego, aby wypowiedzieć mowę. Czyż ten fakt, tak prosty, nie może objaśnić rozkładu języka łacińskiego i powstania języków nowołacińskich? Gdyby osady gallo-rzymskie nie były przestały istnieć i komunikować się ze sobą, po upadku tronu cesarskiego, jak to czyniły przedtem, prawdopodobnie nie przestanoby mówić po łacinie na całym terytorium państwa Rzymskiego. Brak sposobności do ćwiczenia się w mowie ludności, rozrzuconej na tak wielkim obszarze i znajdującej się w warunkach najrozmaitszych, brak wprawy w używaniu języka tak bogatego i tak skomplikowanego, musiał wywołać smutne następstwa. Wiele wyrazów wyszło z użycia, wiele utraciło dawne znaczenie, subtelne znaczenie od-

mian deklinacyjnych i konjugacyjnych zanikło i zatarło się wśród pasterzy i barbarzyńców, skazanych na osamotnienie z powodu dróg źle utrzymanych i stosunków nie uregulowanych należycie.

Cóż z tego wynikło? Gdy te istoty, zwykle milczące, czuwały potrzebę podzielenia się jakąś wiadomością, jakimś pojęciem, powstałem w ich prostaczym mózgu, to w zardzewiałej swej mowie nie mogły znaleźć właściwych wyrażen i poprzestawały na niejasnych określeniach. Zubożenie ich słownika pociągało za sobą uproszczenie gramatyki, a pamięć ich odtwarzała wyrazy, zwroty i końcówki łacińskie w formie uszkodzonej lub całkowicie zepsutej. Aby się zrozumieć, byli zmuszeni szukać nowych wyrazów i czynić w tym kierunku wysiłki o tyle większe, o ile bardziej zatracili możność posługiwania się mową poprawną i łatwość wysłowienia. Człowiek znalazł się więc w takim stanie, w jakim był w czasach przedhistorycznych, gdy nie władając jeszcze mową, musiał stwarzać powoli wyrazy za pomocą próbnych wynalazków, ześrodkowując wszystkie swoje zasoby umysłowe w szukaniu sposobów zaspokojenia niezbędnej dla niego potrzeby dzielenia się myślą z innymi. W ten sposób z mnóstwa wynalazków, dokonanych przez ludzi od VII do X wieku w celu ułatwienia sobie zrozumienia się wzajemnego, powstały języki romańskie. Z powodu zaniku rozmów częstych i urozmaiconych rozpadła się łacina i zaczęły kiełkować języki nowołacińskie, a później wskutek powrotu do życia towarzyskiego języki te wzrosły i zakwitły. Czyż tak nie było z rozpadaniem się i genezą wszystkich innych języków? Jeżeli jakieś okoliczności przerywają częste rozmowy i wywołują rozkład języków cywilizowanych, albo je upodlegają, powrót do stosunków towarzyskich i nieod-

łącznych od nich pogawędek, jest pierwotną przyczyną powstawania nowych języków. Szybkość tego procesu zależy od ilości mieszkańców danego kraju, od tego, czy odbywa się na terytorium mało zaludnionem i bardzo poczłonkowanym, czy też ma miejsce w okolicach o bardzo licznej i skupionej ludności. Tego rodzaju kontrast stanowiła Anglia w średnich wiekach, w porównaniu z ludami szczepu romańskiego. I czyż ten kontrast właśnie nie objaśnia w pewnym stopniu, dlaczego trzeba było tylu wieków, aby wytworzył się dyalekt francuski i aby narzeczce Ile de France zapanowało we wszystkich prowincjach Francji, podczas gdy język angielski rozwinął się i rozpowszechnił z szybkością zdumiewającą filologów. Ponieważ centralizacja władzy nastąpiła daleko wcześniej w Wielkiej Brytanii, niż u nas, przeto wywołała wcześniejsze zespolenie umysłowe mieszkańców, czemu sprzyjało też wyspowe ich odosobnienie. Naśladownictwo, asymilując grupę po grupie, oddziaływało tam bardziej intensywnie, niż we Francji, i to już począwszy od wieków średnich. Czy możemy sobie wyobrazić, co w rozmowie pojedynczych jednostek, lub też ludzi należących do rozmaitych kast, stanów, prowincji, może powodować stopniowy zanik licznych gwar, albo też dwu odmiennych narzeczy, jak anglosaksońskie i romańskie, wobec jednego języka, który tworzy się, rozwija i kształtuje w miarę, jak się rozpowszechnia? Cechą charakterystyczną stosunków angielskich w średnich wiekach był zespół życiowy różnych warstw społecznych, które, obcując ze sobą prawie nieustannie, miały sposobność naśladować siebie nawzajem. Dodajmy nawiasem, że tam, jak i wszędzie, naśladownictwo rozprzestrzeniało się zawsze od góry

do dołu *), począwszy od tych świetnych dworów wielkopańskich, gdzie rozmowa miała już wdzięk i polor salonowy. Przyczyny tak szybkiej i tak głęboko sięgającej asymilacji należy szukać w ustroju hierarchii społecznej w Anglii, w zbliżeniu się jej szczebli porządkowych, na tyle różniących się od siebie, by mogły podtrzymywać urok wyższości kastowej, a nie dosyć wyraźnie rozdzielonych, by nie budzić chęci współzawodnictwa.

Polityczne znaczenie rozmowy nie jest mniej ważne od jej roli lingwistycznej. Istnieje ścisły związek pomiędzy działalnością rozmowy a przeobrażeniami opinii publicznej, od czego zależy zmienność władzy. Jeżeli gdziekolwiek opinia publiczna ulega niewielkim fluktuacyom lub przeobraża się bardzo powoli, albo też pozostaje nieruchomą, to znaczy, że tam ludzie rzadko kiedy rozmawiają ze sobą i pogawędki ich są nieśmiałe i nie przekraczają ciasnego kółka zwykłych plotek. Jeżeli opinia publiczna jest ruchliwa, jeżeli przeskakuje z jednej ostateczności w drugą, to znaczy, że rozmowy są częste, śmiałe i swobodne. Gdzie opinia jest chwiejną, tam ludzie prowadzą rozmowy bezbarwne, gdzie jest porywczą, to znaczy, że w dyskusyi unoszą się

*)Potwierdzenie tego prawa daje się zauważyć i u dzikich. Charleroix, opisując obyczaje dzikich akodyczyków (Histoire de la nouvelle France), powiada: „w każdej osadzie był *sagamo* (wódz) niezależny od innych; wszyscy ci wodzowie utrzymywali stosunki ze sobą, za pośrednictwem korespondencyi, i tym sposobem jednoczyli cały naród. Znaczną część pięknej pory roku poświęcali na wizyty i narady, na których rozmawiano o sprawach ogólnych“. W ten sposób zwyczaj odwiedzania się wzajemnie ustanowili naczelnicy plemion, a ten, rozpowszechniając się coraz bardziej, oddziaływał na jednoczenie się narodów.

namiętnie; gdzie jest stronna, wymagająca, despotyczna, to znaczy, że uczestnicy rozmowy pozostają pod wpływem zbiorowego obłędu, w rodzaju jakiejś słynnej „sprawy”; tam, gdzie opinia jest liberalna, rozmowy są ożywione, a różnorodne ich tematy osnute na pojęciach abstrakcyjnych.

Związek pomiędzy opinią a rozmową jest tak ścisły, że nawet w pewnych wypadkach, jeżeli nie posiadamy żadnych wskazówek co do rozmowy, możemy, sądząc z brzmienia opinii publicznej, określać tematy. Nie wiele mamy wiadomości o rozmowie z epok ubiegłych, w każdym razie wiemy, do jakiego stopnia opinia, panująca w tym lub owym kraju, w tej lub owej kaście, wywierała wpływ na postanowienia władzy sądowej lub politycznej. Wiemy np., że władze prawodawcze w Atenach daleko więcej ulegały wpływowi opinii publicznej, niż też same władze w Sparcie; stąd możemy wnosić, że Ateńczycy byli bardziej rozmowni od Lacedemończyków. Za czasów Ludwika XIV opinia dworu wywierała wielki wpływ, daleko większy, niż możnaby przypuszczać, na postanowienia monarchy, który jej bezwiednie ulegał; opinii miasta nie brano prawie pod uwagę, a z opinią prowincyi nie liczone się wcale. To znaczy, że na dworze królewskim rozmawiano wiele o sprawach publicznych, w mieście zaś bardzo mało, a jeszcze mniej w innych dzielnicach Francyi. Lecz podczas Rewolucyi stosunek był odwrotny, gdyż przykład rozmów politycznych, dany przez wyższe sfery, przeszedł do najdalszych zakątków prowincyi.

Ewolucyę władzy można więc objaśnić przez ewolucyę opinii publicznej, a tę znowu przez ewolucyę rozmowy, która z kolei objaśnia cały szereg rozmaitych przyczyn: wychowanie domowe, nauka szkolna, kształ-

cenie zawodowe, kazalnica, mowy polityczne, książki-dzienniki.

Prasa peryodyczna jest zasilana przez informacje z całego świata, tyjące się wszystkich wypadków nadzwyczajnych, genialnych, wszystkich świeżych pomysłów, wszystkiego co nowe. Dzienniki są mniej lub więcej interesujące, w tym lub owym kierunku suzerują czytelnika, zależnie od rodzaju i zabarwienia wiadomości przez nie sygnalizowanych. Lecz wśród nowin, któremu żywi się prasa, na pierwszym miejscu trzeba postawić czynności władzy i szereg wypadków politycznych. W ten sposób sama działalność tej władzy, ścierana na miazgę przez prasę peryodyczną, przeżywana w rozmowach, oddziałuje w znacznej mierze na przeobrażenia owej władzy. Lecz z drugiej strony władza nie mogłaby ulegać ewolucyi, gdyby postęпки jej nie były ogłaszane przez prasę i komentowane w rozmowie, pozostałaby niezmienną pomimo przeobrażeń, wywołanych innymi prądami, a mianowicie religijnymi lub ekonomicznymi, a te rozpowszechniane i popularyzowane osłabiają lub potęgują jej autorytet.

Tam, gdzie władza jest długotrwała, możemy być pewni, że rozmowy były bardzo nieśmiałe i w ciasnych szrankach zamknięte*) Aby więc powrócić władzy

*) Rozmowa powstawała w Anglii za czasów Bakona, który poświęca jej krótki ustęp w swoich *Szkicach moralnych i politycznych*; nie przedstawia on tam *ogólnego stanu* rozmowy, co by nas bardzo interesowało, lecz daje *radę ogólną* mniejszej dla nas wagi. Sądząc z jego słów, możemy wnosić, że rozmowy angielskie w tej epoce były niezmiernie bezbarwne, o wiele więcej nieśmiałe, niż na kontynencie, gdzie toczono burzliwe rozprawy o ówczesnych wojnach religijnych. „Niektóre kwestye—mówi on—nie powinny nigdy być przedmiotem żartów, jak np. *religia, sprawy państwowe, wielcy ludzie, osoby zajmujące wysokie stanowiska* (wyżsi urzędnicy, jak on naprzykład) itp.

dawniejszą jej trwałość, trwałość epok pierwotnych, gdy rozmowy nie przekraczały obrębu ciasnego kółka rodzinnego, trzeba by zacząć od ustanowienia reguły milczenia powszechnego. Wobec tej hipotezy nawet głosowanie powszechne nie miałyby mocy wywoływać przeobrażeń.

Pod względem politycznym, to właściwie nietyle rozprawy i dyskusye parlamentarne należy brać pod uwagę, ile prywatne rozmowy i dysputy, gdyż to one właściwie stanowią pierwiastek twórczy władzy, podczas gdy w Izbach deputowanych lub w ich kulnarach władza się zużywa a często traci znaczenie. Wszystko, co się w tych kołach zamkniętych mówi i robi, odnosi się jedynie do przenoszenia władzy z jednego ośrodka w drugie, lecz bynajmniej nie tyczy się jej siły i rzeczywistego autorytetu. Władza wytwarza się w kawiarniach, klubach, salonach, sklepach, słowem w każdym miejscu, gdzie toczą się rozmowy. Nie trzeba jednak zapominać, że te fabryki nie mogłyby funkcyonować, gdyby nie istniał surowy materiał przez nie przerabiany, a mianowicie: posłuszeństwo i łatwowierność nałogowo wszczepione przez życie rodzinne i wychowanie domowe. Z tych to pierwiastków wyłania się władza, jak z manufaktur i fabryk wyłania się bogactwo, jak z pracowni, muzeów, bibliotek — nauka, jak z wykładów katechizmu i wskazówek macierzyńskich — wiara; jak potęga militarna wyłania się z odlewni rur armatnich i ćwiczeń w koszarach. Wyobraźmy sobie, że obywatele francuscy, zamknięci w więzieniach celkowych, pozbawieni możności wzajemnego oddziaływania na siebie, udają się na głosowanie... Czyż mogliby głosować? Tak, bez wątplenia, nie mogliby głosować, bo większość z nich nie byłaby w możności oddać pierwszeństwa Piotrowi czy Pawłowi, temu lub owemu pro-

gramowi politycznemu. Albo też jeżeliby każdy z nich głosował według swoich pojęć indywidualnych, to wytworzyłby się piękny galimatias wyborczy. Gdyby jakiś mąż stanu, jakiś Mirabeau czy Napoleon mogli być osobiście znani przez wszystkich Francuzów, nie trzeba byłoby uciekać się do wpływów rozmowy, aby stworzyć ich autorytet, i gdyby nawet Francuzi byli dotknięci niemotą, to w każdym razie znaczna większość narodu zostawałaby pod ich władzą. A ponieważ jest to niemożliwe od czasu, gdy rozmiary państwa przekroczyły granice małego miasteczka, tylko za pośrednictwem rozmowy mogą uznać nad sobą jakąś moc czarodziejską, mającą prawo nimi zawładnąć. W gruncie rzeczy trzy czwarte ulega jakiemuś człowiekowi tylko dlatego, że widzi jak inni go słuchają. Pierwsi, którzy ulegli woli tego człowieka, mieli istotne lub domniemane do tego przyczyny: uwierzyli w jego zdolność kierowniczą lub ramię opiekuńcze, bądź to z racji jego wieku podeszłego, znakomitego pochodzenia, siły fizycznej, świetnej wymowy, bądź też potęgi jego geniuszu. Rozmawiając o czynach jakiegoś człowieka, robimy go wybitnym, znakomitym, sławnym; a gdy tenże dzięki sławie władzę uzyska, to znowu w rozmowach o planach jego i zamysłach, jego wyrokach, bitwach przez niego stoczonych, lub działalności publicznej potęga tej władzy wzmagą się lub słabnie.

Zwłaszcza w stosunkach ekonomicznych wielkie znaczenie ma rozmowa, chociaż ekonomiści, zdaje się, nie zauważyli tego wcale. Czyż rozmowa, wymiana myśli — albo raczej wzajemne lub jednostronne poddawanie myślowe — nie jest wstępem do wymiany usług? Przecież to za pośrednictwem słowa, w rozmowie, ludzie, należący do jednego towarzystwa, wypowiadają swoje potrzeby i wymagania co do produktów spoży-

wczych i sposobów ich dostawy. Niezmiernie rzadko się zdarza, aby widok jakiegoś przedmiotu nasunął chęć jego nabycia, zanim rozmowa nie wzbudziła pragnienia jego posiadania. Ma to miejsce tylko wtedy, gdy np. żeglarz przybywa na wyspę nieznaną i otoczą go dzicy, z którymi nie może się porozumiewać, bo nie zna ich mowy, ani też oni jego języka, dzicy olśnieni przywiezionymi przez niego świecidełkami, nabywają je wzajemian za pożywienie albo futro. Z wyjątkiem takich wypadków, rozmowa ma olbrzymi wpływ na rozbudzenie, a jeszcze większy na rozpowszechnienie zapotrzebowań w danym kierunku, i bez niej nie byłoby nigdy stałych cen i wszędzie jednakowych, tego pierwszego warunku rozwoju handlu lub przemysłu, posuniętego już na drodze postępu.

Stosunek rozmowy do psychologii społecznej i etyki ujawnił się we Francji w XVII stuleciu, lecz nie tylko tam był widoczny. Horacy w jednej satyrze wychwala swój sposób życia w domku wiejskim. Przyjmuje tam często swoich przyjaciół: „Każdy współbiesiadnik, wolny od przepisów etykiety, wychyla dowolną ilość większych lub mniejszych puharów. Tam toczą się pogawędki nie o sąsiadach, aby ich obmawiać, nie o ich posiadłościach, aby im takowych zazdrościć, nie o talencie Lepos'a w sztuce tańczenia. Rozmawiamy o przedmiotach, które nas najwięcej interesują i których nie badać byłoby wstydem:

„Co stanowi szczęście człowieka: cnota czy bogactwo? Czy w stosunkach z ludźmi należy się powodować tem, co uczciwe, czy tem, co użyteczne? Jaka jest natura dobra? Na czym polega najwyższe dobro? A jednak do tych rozmów poważnych Cervius wplata czasami anegdoty”. Widzimy więc, że modne pogawędki osób dystyngowanych w wieku Augusta

były podobne do rozmów „ludzi dobrego towarzystwa” w naszym wieku XVII; podobieństwo to odnosiło się do cech najglówniejszych, gdyż rozmawiano o zagadnieniach etycznych, jeżeli już nie krytykach literackich. Tylko etyka współczesnych Horacemu epikurejczyków, zabarwiona stoicyzmem, jest to etyka indywidualna więcej niż społeczna, gdyż celem naśladowców Zenona jak i Epikura było wzmocnić i uzdrowić jednostkę, wyodrębnioną z danej grupy. Przeciwnie zagadnienia etyczne, roztrząsane przez tegoczesnych chrześcijan i moralistów z epoki Ludwika XIV, mają przede wszystkim cechę etyki społecznej. Pani de Lafayette pisze do pani de Sévigné, że całe popołudnie zeszło jej na rozmowie z panią Scarron, księdzem Testu i innymi osobami; gawędzono o jednostkach, objawiających smak estetyczny zbyt wykwinny lub zbyt poziomy w stosunku do ich rozwoju umysłowego. „Zapusciliśmy się — powiada — w takie subtelności, że w końcu nie rozumieliśmy się wcale”. Jaki cel — pytamy dzisiaj — można mieć w rozmowie na temat tak jałowy?

Nie należy zapominać, że w owej epoce, gdy stosunki towarzyskie doszły do najświetniejszego rozwoju w kółkach arystokratycznych, nie było właściwszego tematu do rozmowy, jak objaśnianie, określanie, rozstrzyganie, w granicach możliwości naturalnie, zagadnień z psychologii społecznej, która wówczas jeszcze nie posiadała miana właściwego. Wiek XVII, jak to okazuje się z rozmów „ludzi dobrego towarzystwa”, nigdy bardzo nie troszczył się o psychologię indywidualną.

Pani de Lafayette i Larochefoucault ziewaliby nad romanssem Bourget'a. Interesowało ich i powinno było interesować daleko więcej badanie stosunków interumysłowych i bezwiednie tworzyli oni interpsycholo-

gię. Czytaliśmy La Bruyère'a, czytamy szkice literackie Bussy-Rabutin'a, albo innych pisarzy, kreślących sylwetki postaci współczesnych; charakteryzują oni człowieka jedynie na zasadzie stosunków społecznych, odnośnie do innych ludzi, ale nigdy na zasadzie stosunku do przyrody lub jego wewnętrznej istoty; sądy tych krytyków opierały się na zgodności lub przeciwieństwie pojęcia o pięknie z ich własnymi zapatrywaniami (smak); na zdolności przypodobania się autorowi danego szkicu opowiadaniem drastycznych anegdotek lub napisaniem dowcipnego listu (umysł) i t. p.

Okazuje się, że ludzie, zaczynając zapuszczać się w dociekania psychologiczne, tworzyli psychologię społeczną, i jasnym jest również, że czynili to bezwiednie, ponieważ nie mogli wyrobić sobie o niej ścisłego pojęcia inaczej, tylko jako przeciwstawienie psychologii indywidualnej.

Ta ostatnia rozwinęła się w wieku XVII wyłącznie w jednym kierunku — bardzo ważnym i oryginalnym — t. j. w mistycznym. Należy też zwrócić uwagę przy tej sposobności, że rozmaite stany duszy, rozkosz czy bezwład, tak barwnie odmalowane w uduchownionych listach Fenelona i innych mistyków owej epoki, były przez nich odczuwane jako głucha, wewnętrzna rozmowa z boskim interlokutorem, z nadziemskim pocieszycielem, ukrytym w głębi ich duszy.

Życie mistyczne w epoce przedrewolucyjnej kształtowało się potrosze na obraz i podobieństwo stosunków „światowych”. Bóg składa wizyty duszy, mówi do niej, ona mu odpowiada. Czyż Łaska nie jest najwyższą radością i siłą, daną nam przez głos ukochanego, który przemawia do nas wewnętrznie i krzepi? Okresy oschłości i bezwładu, na które uskarżają się czę-

sto „nawiedzani”, stanowią długie nieraz interwale w odwiedzinach i rozmowach niewidzialnego gościa.

Inną zupełnie dziedzinę, różną bardzo od psychologii społecznej, stanowi psychologia płciowa; jej to wyłącznie poświęcili się autorowie dramatyczni i powieściopisarze, a w rozmowach gra ona rolę tem bardziej dominującą, im one są więcej cywilizowane. Psychologia płciowa pozostaje też w pewnym związku z psychologią mistyczną.

Rozmowa jest matką grzeczności, nawet wtedy, gdy grzeczność polega na milczeniu. Nic tak nie dziwi mieszkańca prowincyi, świeżo przybyłego do Paryża, nic bardziej go nie razi, jak widok ludzi napełniających omnibus, którzy unikają rozmowy. Milczenie osób nieznanomych podczas tego przypadkowego spotkania wydaje mu się niewłaściwem, tak jak milczenie pomiędzy znajomymi jest dla niego oznaką nieporozumienia. Każdy wieśniak dobrze wychowany uważa za swój obowiązek do trzymać towarzystwa tym, z którymi podróżuje, ale to nie dowodzi, aby w małych miasteczkach i na wsi silniejszą była skłonność do rozmowy, niż w miastach dużych. Przeciwnie, zdaje się, że wzrasta ona w prostym stosunku do gęstości zaludnienia i stopnia cywilizacyi. I właśnie intensywność tej skłonności w dużych miastach wywołała potrzebę wznoszenia tam ochronnych, wobec niebezpieczeństwa zalewu przez fale słów niedyskretnych. Tylko wielki stopień zażyłości serdecznej pozwala na dłuższe milczenie dwu przyjaciół, gdy się razem znajdują. Pomiedzy znajomymi, których nie łączy stosunek bardzo poufały, pomiedzy obcymi, którzy się spotykają w salonie, mowa jest jedyną spójnią towarzyską, a z chwilą, gdy rwie się ta spójnia jedyna, zjawia się wielkie niebezpieczeństwo, niebez-

pieczeństwo dostrzeżenia kłamstw z grzeczności, zupełnego braku głębszego przywiązania, pomimo zewnętrznych oznak przyjaźni. Gdy takie lodowate milczenie pojawi się w towarzystwie, przeraża zgromadzonych jakby rozdarcie zasłony wstydlivości, i ludzie robią wszystko, aby tego uniknąć. W gasnący płomień rozmowy rzucamy wszystko, co tylko na myśl przychodzi, nawet tajemnice swoje najdroższe, które korzystniej byłoby przy sobie zachować; tak samo jak w chwili rozbicia się okrętu, rzucamy w morze najkosztowniejsze swoje pakunki, aby opóźnić zatonięcie. Milczenie podczas rozmowy salonowej — to jest tonięcie okrętu w środku oceanu.

Z rozmowy powstały komplementy, jak również i obelgi. Rozmawiając ze sobą, ludzie spostrzegli, że dobre ich o sobie mniemanie nie bywa przez innych podzielane, i odwrotnie. W stosunku do równych sobie można było ostro występować przeciwko ich pyszałkowatej i bezpodstawnej wyniosłości, a nawet lżyć przeciwnika; lecz i tutaj doświadczenie nauczyło unikać zatargów, wywołanych tymi porywami szczerości. Jednak, gdy chodziło o zwierzchnika, przezorność nakazywała ulegać podobnym wybrykom. To dało początek komplementom, które powoli, tracąc swoje znaczenie, stały się wzajemnymi, i w tej formie zobopólnej przyjęte powszechnie nadały tło zasadnicze stosunkom towarzyskim w mieście. Początkowo komplementy są zawsze interesowne i dopiero po upływie pewnego czasu tracą swój charakter utylitarny. Zadaję sobie pytanie, czy tego, co Hindusi mówili o wszechpotędze modlitwy, nie można objaśnić własnością pochwały upajania dusz naiwnych?

Modlitwa jest przede wszystkim pochwałą hiperboliczną. Komplementem w Chinach będzie powiedzieć

komuś, że się zestarzał, u nas, że odmłodził. W średnich wiekach powiedzieć młodemu zakonnikowi, pozującemu na ascetę, świątobliwie umartwiającemu swoje ciało, że schudł i zmizerniał, było najdelikatniejszą formą pochwały. Czy można uchwycić jakiś sens logiczny w ewolucyi komplementów, jak również i obelg? Porównawszy wymyślenia bohaterów Homera z obelgami dzienników potwarczych, można powiedzieć, że słownik pieniaczy raczej się wzbogacił, niż przeobraził. Do wszystkich wad fizycznych, chorób i ułomności, jakie niegdyś wypominano swoim wrogom, przyłączyły się wady cywilizacyi, wyrafinowane zepsucie, niedobory umysłowe, którymi dzisiaj tak hojnie ich obdarczają. Lecz publiczne obelgi prasy, jak i jej pochwały, są zupełnie czemś innym, niż obelgi i pochwały w stosunkach prywatnych; i musiały zachować coś ze swojego pierwotnego hiperbolizmu. Wszystko, co się zwraca do publiczności, istoty nieokrzesej, musi mieć barwę krzyżącą i ordynarną w postaci ogłoszeń rozlepianych na ścianach domów, programów wyborczych, polemik prasowych. Jednak w porównaniu z XVI wiekiem, polemiki najskrajniejszych naszych dzienników, tych gniazd potwarzy wszelkiego rodzaju, mają charakter o wiele spokojniejszy. Jeszcze szybciej nastąpiło złagodzenie formy obelg prywatnych, z brutalnością home-rycznej przeszły one w ton subtelny ironii i zamiast wytykać wady fizyczne coraz więcej akcentują niedorozwój umysłowy lub moralne niedobory. Ten podwójny proces ewolucyi w kierunku dodatnim jest bezpowrotny.

Obie te cechy ma również ewolucya pochwały. Żaden monarcha, ani też żaden wielki człowiek nie zniósłby napewno hymnów pochwalnych, jakie kapłani zmuszeni byli wygłaszać na cześć Faraonów, lub jakie płynęły strumieniami z ust Pindara na głowy uwieczno-

nych atletów cyrkowych. Ton dedykacji w książkach, wydawanych przed dwoma stuleciami, pobudza nas do śmiechu dzisiaj. Jeżeli porównamy rozmowy i dyskusye prywatne z temi, jakie toczyły się w XVIII, XVII i XVI stuleciu, sądząc z pozostałych szczątków, dochodzimy do wniosku, że zmniejszała się coraz doza komplementów, mówiących wprost w oczy, bez ogródki, jak i słów obelżywych. Te dawniejsze olbrzymie banknoty rozpadły się i rozdzieliły na mniejszą, bardzo drobną nawet monetę. Z drugiej strony treść tych zamaskowanych komplementów i słodkich słówek nie zmieniła się wcale. Początkowo wychwalano przede wszystkim siłę fizyczną bóstwa (księgi Joba), następnie jego mądrość i inteligencyę, nakoniec jego dobroć. Tak samo z początku wielbiono potęgę władców, później ich zręczność, geniusz organizacyjny, nakoniec troskę o dobro ludu. Do kogo zwracała się cała liryka poetów panegirycznych starożytnej Grecyi? Do atletów więcej, niż do artystów. Dzisiaj jest odwrotnie i pomimo wielkiego interesowania się zwycięzcami w welodromach i foot-ball'ach, skala uwielbień idzie niewątpliwie w odwrotnym porządku.

Pochwały na cześć kobiety uległy innej ewolucyi. Dawniej wychwalano cnotę niewieścią, zmysł porządku i oszczędności, uzdolnienie w tkactwie, następnie jej zdolności muzyczne — zanim zaczęto chwalić jej fizyczne zalety; teraz głośzą pochwały na cześć jej piękności daleko częściej, niż cnoty lub rozumu. Jednak to wychwalanie urody kobiecej ulegało specjalnej ewolucyi, dającej się podporządkować pod ogólną tendencyę: dawniej chwalono kształty niewieście więcej niż wdzięk, teraz wdzięk więcej niż kształty.

Przypatrzmy się mężczyźnie i kobiecie, jak rozmawiają ze sobą podczas odwiedzin z konwenansu. Oto

starannie unikają takich przedmiotów, w których ich zdania mogłyby się różnić, a jeżeli nie mogą uniknąć koniecznej o nich wzmianki, to, ile możliwości, starają się złagodzić swoje opozycje i często nawet posuwają się tak dalece, że robią częściowo ustępstwo ze swoich przekonań, aby tylko chociaż pozornie być w zgodzie. Rozmowa wytworna może być uważana jako nieustanne i ogólne ćwiczenie instynktu towarzyskiego, jako wysiłek jednorodny i zaraźliwy w kierunku szarmonizowania umysłów i serc, a ukrycia dysonansów. Osoby rozmawiające są przejęte pragnieniem dobrowolnego przystosowania się we wszystkim do siebie, i w rzeczy samej bezwiednie lecz silnie sugerują sobie zgodne uczucia i pojęcia. Jednak wzajemność tego poddawania myślowego nie jest nigdy doskonała; zwykle przeważa wpływ jednej z osób obecnych i redukuje do zera oddziaływanie reszty zgromadzonych. Nie ulega jednak wątpliwości, że polot towarzyski, wspierany przez pogawędki salonowe, orze głęboko grunt, na którym powinna zakwitnąć jednorodność społeczna, i że jest do niej niezbędnym przygotowaniem.

Rozmowa była też kolebką krytyki literackiej. W wieku XVII, jak o tem można się przekonać z długich piśmiennych pogawędek, jakimi były listy Busy-Rabutin'a do jego miłej kuzynki, rozmowy towarzysztwa wytwornego toczyły się najczęściej na temat rozbiorów i ocen literackich różnych książek i autorów. Wygłaszano sądy, rozprawiano o ostatnich tragediach Racine'a, bajkach Lafontaine'a, pismach de Boileau, pracach jansenistów, a zbadawszy bliżej te rozmowy, widzimy, że po ożywionej dyskusji dążą do zgody wzajemnej, co do obranego punktu widzenia. Tak było zawsze, we wszystkich epokach, bez względu na rodzaj i temat

rozmowy. Tam, gdzie ludzie rozprawiali wiele o literaturze, oddziaływali bezwiednie na zbiorowe opracowanie zasad sztuki poetyckiej, kodeksu literackiego, przyjętego przez wszystkich, a mogących dostarczać gotowych już sądów, zawsze ze sobą zgodnych, odnośnie do wszystkich rodzajów twórczości umysłowej. Można również twierdzić z pewnością, że pojawienie się autora, tworzącego tego rodzaju prawodawstwo estetyczne, czy to będzie Arystoteles, bądź Horacy, bądź też Boileau, poprzedza zawsze długi okres intensywnego życia towarzyskiego i rozmów ożywionych. Bądźmy więc pewni, że rozmawiano wiele o literaturze przed Arystotelesem i w jego epoce, w Atenach i całej Grecji od czasu sofistów; że również rozmawiano wiele o tym przedmiocie w Rzymie od czasu Scypionów i w Paryżu od chwili pojawienia się précieuses i po ich zniknięciu.

Z Restauracji wyłoniła się poezya romantyczna, zbyt jaskrawo narzucająca się uwadze ogołu przy końcu tej epoki, aby mogła zostać bezimienną. Obecnie niema jeszcze poezyi, któraby znamionowała naszą epokę, lecz przygotowuje się do niej odpowiednie pierwiastki; i trzeba zaznaczyć, że rozszerzyła się znacznie dziedzina rozmowy nietylko na temat polityki i spraw społecznych, lecz także i literatury, a to z powodu powiększenia się liczby osób, mogących rozmawiać o tych przedmiotach, lecz opracowanie kodeksu literackiego będzie trwało dłużej, niż w poprzednich epokach, chociażby dlatego, że w większej kadzi dłużej trwa fermentacja.

Za pośrednictwem dyskusyi jak i wymiany myśli, konkurencyi wojny jak i pracy, działamy społem wszyscy i zawsze w kierunku zlewania się myśli, słów i czynów w wyższą harmonię, stworzenia stałej równo-

wagi sądów ujętych w dogmaty literackie, artystyczne, filozoficzne, religijne, jak również stałej równowagi czynów w postaci praw i zasad moralnych. Logika społeczna oddziaływa na mowy i czyny ludzkie, i w końcu swoje prawa im narzuca.

VII.

Daleko mniejsze znaczenie, jako czynnik opinii publicznej, ma korespondencya prywatna. Tak ściśle związana jest z rozmową, że nie zatrzymamy się przy niej długo.

Wymiana listów to rozmowa z odległości, nie-przerwana pogawędka pomimo rozłąki interlokutorów. A zatem przyczyny, jakie sprzyjają rozwojowi rozmowy, jak większa ilość wolnego czasu, rozszerzenie koła znajomych, zrównanie stanów i t. p., przyczyniają się również do żywszej wymiany korespondencyi, zależnej nadto od innych jeszcze okoliczności, sprzyjających jej rozwojowi, t. j. ułatwienia podróży, co powoduje częstsze oddalanie się znajomych, spopularyzowanie sztuki pisanja i prawidłowe funkcyonowanie poczt. Można by przypuszczać, że podróże, pomijając ilość listów, wpływają ujemnie na rozmowę. Wiadomo jednak powszechnie, że w krajach, gdzie ludzie najwięcej podróżują i najczęściej do siebie pisują, najwięcej też rozmawiają. W ten sposób rozwój kolei żelaznych, zamiast zniweczyć handel ekwipażami, przyczynił się tylko do jego wzbogacenia. Jeżeli więc zwyczaj przenoszenia się z miejsca na miejsce ludzi naszej epoki wywołuje zbyt częste przerwy „w tych słodkich pogawędkach o szarej godzinie” starych przyjaciół i znajomych, owe swobodne pogadanki, które, jak po-

wiada Horacy, „powtarzały się zawsze w pewnych określonych porach dnia”, to za to sprzyja niezmiernie poznawaniu się i widywaniu coraz większej liczbie cudzoziemców, a te spotkania są bardzo pouczające, jakkolwiek nie mają tego uroku, co pogawędki osób bliskich. Żądza zaspokojenia ciekawości zyskała więcej, niż straciła poufałość stosunku, a chociaż czują głęboko tę stratę, przyjmują ją z rezygnacją, mając nadzieję, że jest tylko chwilową. Czy nie możnaby tutaj wygłosić zasady, która może rzucić pewne światło na przedmiot niniejszy i potwierdzić nasze mniemanie o ścisłym związku pomiędzy korespondencją, rozmową a podróżami? Jeżeli w jakim kraju, w pewnym danym momencie znajdujemy rozwój jednego z tych trzech łączników towarzyskich, np. podróży, mamy prawo wnioskować o rozwoju dwu innych i odwrotnie. Jeżeli w jakimś okresie rozwoju społecznego korespondencja listowna była w największym rozkwicie (t. j. przed rozwojem dziennikarstwa, które przeobraziło sposób porozumiewania się ludzi ze sobą), to wtedy właśnie najczęściej podróżowano i najwięcej mówiono. Taką była epoka Pliniusza Młodszeo. Takim był nasz wiek XVI. „Wiek XVI — powiada jeden z historyków — jest przedewszystkiem wiekiem listów. W rękopisach Biblioteki narodowej znajduje się niezliczona liczba pism odręcznych treści politycznej, królów, ministrów, ambasadorów. Istnieją tam również listy treści religijnej i poufne” *).

*) W listach tych mamy całą hierarchię formułek grzeczności i przepisów etykiety listownej. Do zwierzchnika pisano: Monseigneur, do równego: Monsieur. W nagłówku listu do osoby wyższego stanowiska: „polecam się łasce...“, w zakończeniu: „błagając Najwyższego o zdrowie i długie życie...“. Stopnie

W porównaniu z innymi krajami Europy zachodniej najmniej piszą listów w Hiszpanii. Wszędzie i zawsze ogniska rozmowy wzniecały te warstwy narodu, które najwięcej podróżują, tam również budziło się pragnienie korespondowania ze sobą; tak było w Grecyi wśród retorów, sofistów i wędrownych kolporterów mądrości, t. j. w łonie ludu żeglarskiego i ruchliwego; w Rzymie wśród arystokracji dobrowolnie koczującej i podróżującej; w wiekach średnich było to w sferach uniwersyteckich i kościelnych, gdzie zakonnicy, kaznodzieje, biskupi, legaci, księża i ksienie (zwłaszcza ksienie) tak łatwo zmieniali miejsce pobytu i odbywali tak bardzo dalekie podróże w porównaniu z resztą ludności. Pierwsze poczty były początkowo przywilejem uniwersyteckim i duchownym, a raczej, cofając się dalej wstecz, tylko królewskim.

O tej ważnej instytucyi powiem tylko słów kilka, aby zaznaczyć, że rozwój jej szedł zgodnie z prawem rozpowszechniania się przykładów z góry.

Wpierw królowie i papieże, następnie książęta i prałaci — pierwiej panowie feodalni, niż ich wasalowie — mieli swoich kuryerów; potem stopniowo wszystkie warstwy ludności, aż do najniższych, uległy pokusie pisania listów. Gdy Ludwik XI edyktem z 19 czerwca 1494 r. zorganizował poczty, kuryerzy rozwiezili tylko listy monarchy, „lecz wyłącznie królewskie—

uniżoności określał podpis „sługa powolny“. „pokorny“ itp. Listy XVI wieku podobnie jak i rozmowy ówczesne, których są wiernem odbiciem, były szare aż do brutalności, pozbawione śladu, niedyskretne i w najwyższym stopniu niedelikatne. W następnym wieku dopiero rozwiną się subtelniejsze uczucia.

powiada du Comp — kuryerzy stali się służbą administracyjną z warunkiem, aby listy były odczytywane i nie zawierały nic takiego, co by mogło uwłaczać powadze króla”. Ludwik XI doskonale zdawał sobie sprawę, jaki wpływ potężny może wywrzeć korespondencya prywatna na kierunek opinii publicznej. Stała taryfa pocztowa na listy została nałożona po raz pierwszy za Richelieu’go (1627*), co najlepiej świadczy o ich wzroście liczebnym w tej epoce. O nadzwyczajnym rozwoju poczt we Francyi w XVIII stuleciu świadczy porównanie wysokości czynszu dzierżawnego: z 2 i pół miliona wzrósł do 10 milionów w 1700 r., a w r. 1777 za prawo utrzymywania poczt płacono cztery razy więcej.

Obecnie statystyka pocztowa wykazuje szybki i stały przyrost ilości listów w rozmaitych państwach**) i w ten sposób pozwala określić stałe, regularne wszędzie wzrastanie potrzeb, jakim one odpowiadają. Może nam również dostarczyć informacji o rozmaitych stopniach rozwoju i postępu towarzyskości. Lecz ta sama statystyka jest zarazem doskonałą wskazówką, że

*) Jednak *listy prywatne* — bo powyżej w wieku XVI była mowa tylko o korespondencyi dyplomatycznej — nie były bardzo liczne aż do połowy wieku XVII, sądząc z niektórych wzmianek w pamiętnikach panny de Montpensier, przytoczonych przez Boederer’a. Mówi ona o księżniczce de Parthénie (Pani de Subbé): „za jej czasów rozpowszechniła się korespondencya prywatna, przedtem spisywano tylko kontrakty małżeńskie, a o *listach nie słyszano wcale*...”

**) We Francyi np. pomiędzy 1830 a 1892 rokiem ilość listów zwiększała się równocześnie z roku na rok (wyjawszy lata 1848 i 1870) i z 63 doszła do 773 milionów. Ilość depez telegraficznych pomiędzy r. 1858 a 1892 zwiększyła się również w tym samym stosunku, bo z 32 milionów doszła do 463.

wszędzie pod ilościami społecznymi ukrywają się pierwiastki jakościowe, dla których obliczenia statystyczne tylko w przybliżeniu mogą być miarodajne*). Istotnie, nic bardziej nie jest do siebie podobne zewnętrznie, jak listy pochodzące z jednej i tej samej epoki, z jednego i tego samego kraju, i zdaje się, że nic lepiej nie odpowiada warunkowi jednorodnych jednostek, potrzebnych do obliczeń statystycznych. Listy mają mniej więcej ten sam format, takie same koperty, zamknięte w jednakowy sposób, jednakowy rodzaj nadpisów. A nawet teraz pokrywają je identyczne prawie marki pocztowe. Żadna statystyka nie może operować jednostkami bardziej do siebie podobnymi. Lecz odpieczętujemy te listy — ileż tam znajdziemy różnic zasadniczych, rdzennych, charakterystycznych, pomimo podobieństwa formułek sakramentalnych na początku i przy końcu każdego listu! Dodać do siebie te tak różnorodne przedmioty, to za mało. Znamy ich liczbę, lecz nie znamy nawet ich długości. Ciekawem byłoby dowiedzieć się: czy w miarę, jak wzrasta ilość listów, treść ich nie staje się coraz bardziej lakoniczna — co zdaje się prawdopodobne — i bardziej oschła. Ciekawem również byłoby zbadać, gdyby istniała statystyka rozmów**), co byłoby słuszne. długość trwania pogawędek towarzyskich, i czy nie

*) Gdyby to było możliwe tutaj, to mógłbym również wykazać, że i pod fizycznymi ilościami istnieją skryte jakości, które można mierzyć za pośrednictwem metod naukowych, w gruncie rzeczy analogiczne i również jak statystyka zwodnicze, chociaż pozornie od niej stalsze.

**) To byłoby możliwe, gdyby każdy z nas, podobnie jak Goncourt'owie prowadził dziennik swego życia. Do tej pory notuje się tylko ilość posiedzeń na kongresach, towarzystwach naukowych, a statystyka tego działu wykazuje stały przyrost.

są one w stosunku odwrotnym do ich częstotliwości, jak to ma miejsce prawdopodobnie w naszej, tak pracowitej epoce.

Tam, gdzie są największe opady atmosferyczne, gdzie najwięcej wody spada z nieba — deszcz pada najrzadziej. Największy interes budziłaby możliwość poznania treści listów, jak również i rozmów, lecz statystyka nie może nam dostarczyć tutaj żadnych wskázówek.

Niewątpliwie jednak pojawienie się dziennikarstwa wywołało przeobrażenie treści listów. Prasa, która tyloma środkami pobudzającymi i tyloma świeżymi pokarmami podtrzymywała i żywiła rozmowę, zatamowała wiele źródeł korespondencyi, lub je na swoją korzyść zużytkowała. Oczywiście, gdyby w marcu r. 1658 istniały we Francji dzienniki zaopatrzone w tak obszernie informacye i tak regularnie wysyłane na prowincyę, jak to obecnie ma miejsce, to Olivier Patru, tak bardzo zajęty innemi sprawami, nie potrzebowałby opisywać tak szczegółowo (teraz uczyniłby to każdy świstek dziennikarski) odwiedzin Krystyny Szwedzkiej w Akademii francuskiej. Wielką przysługę oddają nam dzienniki — na co nie zwracamy uwagi — że uwalniają nas od donoszenia znajomym o mnóstwie nowin *) intere-

*) Dziennikarze oddawna zdają sobie sprawę z tego rodzaju przysługi. Renaudot w artykule wstępnym swojej *Gazety* z r. 1631 powiada: „przynoszą one (gazety) niemałą ulgę tym, co korespondują ze swoimi znajomymi, bo dawniej, gwoli zaspokojenia ciekawości, musieli opisywać starannie wszystkie wypadki dnia i nowiny najczęściej kłamliwe, oparte na posłuchach niewiarogodnych“. *Ułga* ta jednak była tylko częściową w owej epoce, jak tego dowodzi wyżej wzmiankowany list Patru'a.

sujących, dotyczących się wypadków codziennych, którymi były obciążone listy w dawnych czasach.

Czyżby prasa, uwalniając korespondencyę prywatną z tego balastu kronikarskiego, miała zasługę wprowadzenia literatury listownej na jej właściwe tory? czy treść listów nie staje się ubogą wprawdzie, lecz poufną, psychologiczną wyłącznie i serdeczną?

Obawiam się, czy tego rodzaju przypuszczenie nie będzie złudzeniem. Nasza cywilizacja coraz bardziej przybiera charakter właściwy stosunkom miejskim, czego następstwem jest objaw, że zwiększa się coraz liczba naszych przyjaciół i znajomych, podczas gdy stopień poufności wzajemnej coraz się obniża, a to, co mamy sobie do powiedzenia lub do napisania, coraz mniej odnosi się do pojedynczych jednostek, a coraz więcej do grup, i to coraz liczniejszych. Z dniem każdym prawie coraz więcej *Publiczność**) staje się naszym istotnym interlokutorem i korespondentem.

Nic więc dziwnego, że zawiadomienia drukowane**), anonse i reklamy, ogłaszane w dziennikach, zwiększają się ilościowo daleko prędzej, niż nasze listy prywatne. A może nawet mamy prawo przypuszczać, że listy poufne, owe pogawędki listowne, które naturalnie trze-

*) Potrzeba zwracania się do publiczności jest wytworem czasów nowszych. Przed Rewolucją nawet królowie nie zwracali się do niej nigdy; przemawiali do ciał prawodawczych, parlamentu, kleru — a nigdy do całego narodu, a tembardziej do osób prywatnych.

**) Zawiadomienia o ślubach, narodzinach i śmierci uwolniły listy od pracy niegdyś uciążliwej. W jednym tomie korespondencyi Voltaire'a znajdujemy np. szereg listów, poświęconych zawiadamianiu przyjaciół pani de Châtelet o narodzinach jej dziecka w dowcipnych i starannie obmyślanych wariantach stylowych.

ba odróżnić od listów handlowych, zmniejszają się liczebnie, a jeszcze więcej ulegają skróceniom na długość — jeżeli można to wnosić z nadzwyczajnego uproszczenia listów miłosnych, ogłaszanych w niektórych dziennikach, w dziale „korespondencji prywatnej” *).

Utylitarny lakonizm depesz i rozmów telefonicznych, które stopniowo obejmują dziedzinę korespondencji prywatnej, odbił się na stylu listów nawet najbardziej poufnych. A jeżeli z jednej strony opanowana przez prasę, a z drugiej przez telegraf i telefon, jednocześnie toczona z obu końców korespondencya prywatna jeszcze żyje, a nawet według statystyki pocztowej daje pewne oznaki rozwoju, to dzieje się tylko z powodu zwiększonej ilości listów handlowych. Obszerne listy poufne, osobiste, zostały zniweczone przez dziennik i to jest zupełnie zrozumiałe, bo ten jest ich wyższym ekwiwalentem, a raczej przedłużeniem i uzupełnieniem, ich promieniowaniem na dalekie przestrzenie. Dziennik powstał z innych pierwiastków, niż książka. Książce dały początek mowy, monologi, a przede wszystkim poematy i śpiew. Utwory poetyczne poprzedziły książki pisane prozą, a księgi święte — utwory świeckie. Na powstanie dziennika złożyły się pierwiastki światowe i rodzinne. Pochodzi on z listu prywatnego, a ten znowu jest wynikiem rozmowy. Dzienniki początkowo były to listy prywatne, kopowane w pewnej ilości egzemplarzy i miały charakter

*) W listach rozmaitego rodzaju coraz bardziej skraca się i upraszczają formułki grzeczności. Przeobrażenie sakramentalnych formułek rozmowy w tym samym kierunku nie ulega zaprzeczeniu; ponieważ jednak nie zostawiła ta ostatnia trwałych śladów, łatwiej jest badać ten postępek czy też zanik w dawniejszej i tegoczesnej korespondencji.

osobisty. „Przed pojawieniem się dzienników drukowanych i publicznych, mniej więcej tolerowanych i zużytkowanych przez sfery rządowe, istniało dziennikarstwo rękopiśmienne, często pokątne”, które trwało aż do XVIII stulecia i zostawiło ślad w listach Grimm'a i pamiętnikach Bochamont'a.

Listy Św. Pawła i listy misjonarzy, to prawie całe gazety. Gdyby Św. Paweł miał jakiś Tygodnik religijny do rozporządzenia, to byłby pisywał artykuły.

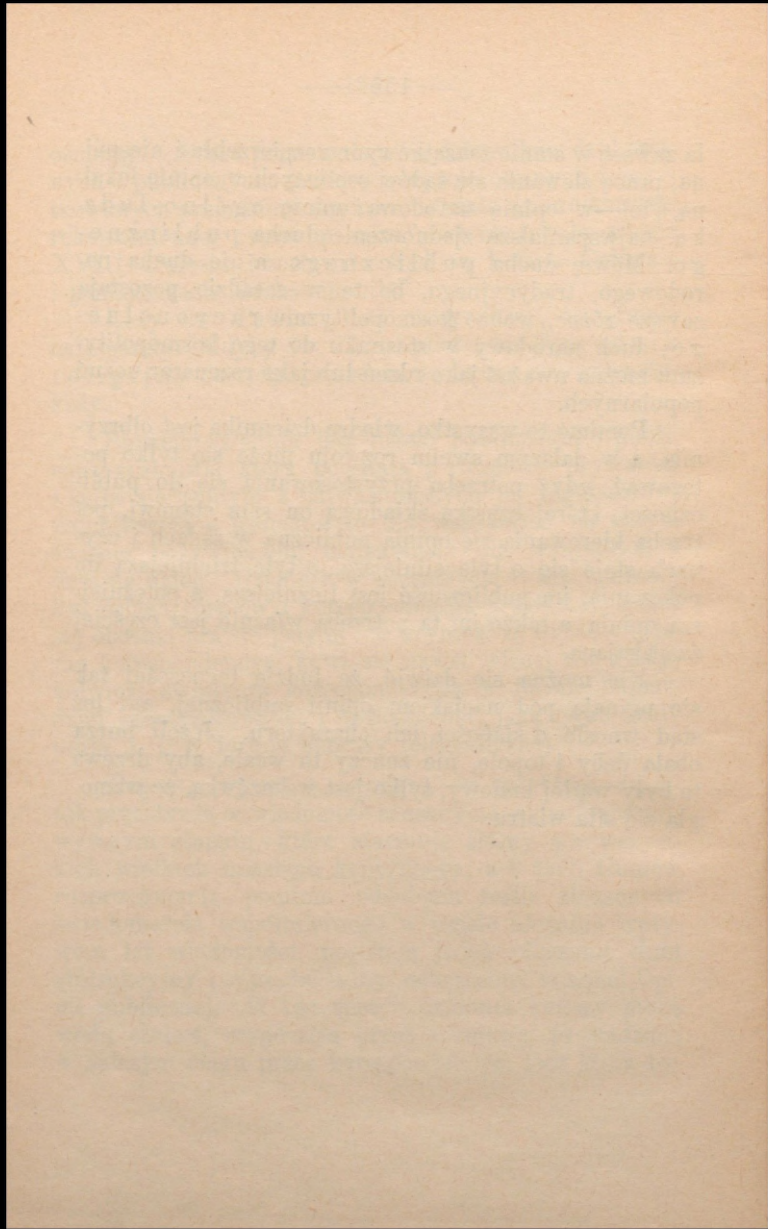
Słowem dziennik jest listem publicznym i publiczną rozmową, która powstała z rozmowy prywatnej i stała się jednym z najważniejszych jej regulatorów, najobfitszym a jednakowym dla wszystkich na całym świecie pożywieniem, zmienianem dla wszystkich z dnia na dzień. Dziennik w początkach swego istnienia był echem rozmów i korespondencji prywatnej, a stał się obecnie prawie jedyną ich krynicą. Żywi się on i teraz korespondencją, żywi się nawet więcej niż kiedykolwiek, zwłaszcza korespondencją w formie najbardziej skoncentrowanej i nowoczesnej, jaką teraz przybrała, t. j. w formie depechy telegraficznej.

Depeszę prywatną, wysłaną do redaktora dziennik przeobraża w wiadomość sensacyjną, aktualną w najwyższym stopniu, która alarmuje tłumy we wszystkich wielkich miastach kontynentu; a z tych tłumów rozproszonych, pomimo oddalenia ściśle związanych świadomością współmiernego w czasie ulegania wpływom tej wiadomości, powstaje jeden olbrzymi tłum abstrakcyjny i wszechwładny, ochrzczony mianem Opinii publicznej. W ten sposób dziennik kończy pracę wielu stuleci, rozpoczętą przez rozmowę, prowadzoną w dalszym ciągu przez korespondencję, lecz która by-

ła zawsze w stanie zaczątkowym, rozpierchła i niespójna, pracę zlewania się sądów osobistych w opinię lokalną, a tej—w opinię narodową i opinię ogólnoludzką, najwspanialsze zjednoczenie ducha publicznego. Mówię ducha publicznego, a nie ducha narodowego, tradycyjnego, bo te w zasadzie pozostają zawsze różne, wobec kosmopolityzmu racjonalnego; duch narodowy w stosunku do tego kosmopolityzmu można uważać jako rdzeń lub jako rezonator uczuć popularnych.

Pomimo to wszystko, władza dziennika jest olbrzymia, a w dalszym swoim rozwoju może się tylko potęgować, gdyż potrzeba przystosowania się do publiczności, której część składową on sam stanowi, potrzeba kierowania się opinią publiczną w sądach i czynach staje się o tyle silniejszą, o tyle trudniejszą do pokonania, im publiczność jest liczniejsza, a potężniejsza opinia, a także im ta potrzeba właśnie jest częściej zaspakajana.

Nie można się dziwić, że ludzie tegocześni tak się uginają pod naciskiem opinii publicznej, ani też stąd wnosić o słabości ich charakteru. Jeżeli burza obala dęby i topole, nie znaczy to wcale, aby drzewa te były wątłej budowy, tylko jest wskazówka, że wzmożła się siła wiatru.



SPIS RZECZY.

str.

ROZDZIAŁ I.

Publiczność i Tłum 7

ROZDZIAŁ II.

Opinia i Rozmowa

Opinia 69

Rozmowa 86



145 _____
6623/
57 1/1

